

Tina Popko - artystka wielu talentów (1)



Tina Popko, fot. Paweł Szeterlak

rozmawia Łukasz Przelaskowski (Holandia)

Łukasz Przelaskowski: Masz piękne imię, możesz coś o nim powiedzieć, a także o swoim pochodzeniu?

Tina Popko: „Tina” to imię staroangielskie, oznaczające rzekę. Dostałam je na cześć Tiny Turner, która naprawdę nazywa się Anna Mae Bullock. Moja mama jest jej fanką, miała okazję być na jej koncercie. Zdarzało się, że pytano mnie, czy moje imię i nazwisko to pseudonim artystyczny, ale - w przeciwieństwie do mojej imienniczki - nie musiałam sobie takiego wymyślać, bo już jest krótko i scenicznie. Cieszę się, że

mam imię po takiej gwiazdce, która jest nie tylko świetną wokalistką i jako jedna z niewielu ma charakterystyczny i bez wątpienia rozpoznawalny głos, ale też jest dobrym, wrażliwym człowiekiem. Tina Turner to przykład wyjątkowej gwiazdy, która osiągnęła karierę zasłużenie i dzięki swemu talentowi. Wiele przeszła w życiu, jest silna psychicznie, więc pozostała sobą. Sława nigdy nie wpłynęła na nią negatywnie, nie musiała też wywoływać żadnych skandali, zawsze miała klasę.

To tyle o moim imieniu i imienniczce, a pochodzenie mam rosyjskie po mamie i polskie po tacie. Jestem z artystycznej rodziny, mama pięknie maluje, była prezenterką telewizyjną i dziennikarką, tata gra na gitarze i od najmłodszych lat zapoznawał mnie z muzyką, siostra jest wybitną flecistką. Babcia Tamara pięknie śpiewała i grała na akordeonie, mam po niej imię z bierzmowania. Nasza rodzina ma też dokumenty potwierdzające, że jesteśmy w pierwszej linii potomkami dynastii Rurykowiczów związanej z początkami Rosji oraz z samym Iwanem IV Groźnym - dlatego lepiej ze mną nie zadzierać (śmiech).

Jesteś bardzo utalentowana. Posiadasz szeroki wachlarz zawodów, które reprezentujesz z prawdziwie godnym profesjonalizmem. Czy zawsze, a więc już od dziecka interesowałaś się nimi wszystkimi? Może było inne zamiłowanie, zainteresowanie?

Śpiewać zaczęłam chyba szybciej niż mówić (śmiech). Pierwsze nagranie mojego głosu jest zachowane na kasecie, miałam wtedy dwa latka i śpiewałam piosenkę „Ole Ole Janko”. Od najmłodszych lat słuchałam muzyki, tańczyłam, bawiłam się w robienie teledysków i zostało mi to do dziś. Jako dziecko lubiłam też przebierać się, odgrywać różne role, robić dla rodziców teatrzyk kukielkowy i pokazy mody. Uwielbiałam też rysować, głównie konie i księżniczki w pięknych sukniach, tak więc od dziecka miałam zamiłowania artystyczne.

Uczyłaś się w Szkole Muzycznej w Koszalinie. Ty, rodzice, a może inne wydarzenie zdecydowało o podjętej tam nauce?

Moja starsza siostra grała początkowo na skrzypcach, a ja chodziłam czasem na jej lekcje do sali, gdzie było również pianino i właśnie ten instrument wzbudził moje zainteresowanie, zafascynował mnie. Oczywiście było, że ja również pójdę do szkoły muzycznej. Rodzice proponowali mi skrzypce, ale uparłam się i dopięłam swego.

Tina Popko, fot. Marcin Chyła





Klasa fortepianu, najtrudniejszy do opanowania instrument. Co myślałaś o nim wtedy, podczas pierwszych zajęć, a co czujesz do niego dzisiaj?

Jak już wspomniałam, ten instrument oczarował mnie od pierwszego wejrzenia i... usłyszenia. Jego szeroka klawiatura, barwy niskich i wysokich dźwięków, tajemnicze brzmienia czarnych klawiszy - coś niesamowitego. Dobrze pamiętam pierwszą lekcję i moją nauczycielkę Panią Dorotę Kuryło. Opisywałam barwy instrumentu i moje skojarzenia z nimi, rozpoczęła się też nauka nazewnictwa. Cieszyłam się, że zaczynam swoją przygodę z grą, która pod wpływem mojego zaangażowania i ciężkiej pracy przerodziła się w pasję i miłość do fortepianu, która trwa do dziś.

Twój końcowy egzamin z fortepianu był dość wyjątkowy i pokazał Twój

geniusz. Możesz przybliżyć go naszym czytelnikom?

Moja nauczycielka była bardzo wymagająca, za co jestem jej dziś wdzięczna. Tak naprawdę całe dzieciństwo spędziłam przy pianinie. Nawet w wakacje miałam pracować nad kilkoma utworami, a że zawsze byłam ambitna, to odpoczynek i zabawa były na drugim miejscu i często brakowało na nie czasu. Na swoim końcowym egzaminie grałam m.in. ten sam utwór, co osoba o 6 lat starsza, która podjęła naukę w tym samym wieku. Po tym egzaminie moja nauczycielka nazwała mnie najlepszą uczennicą jaką kiedykolwiek miała.

Przyszedeł czas, gdy dostałaś się do Studium Wokalnego Doroty Helbik-Słobodzian w Koszalinie. Każda wokalistka ma barwę i przedział skali wokalne, jaki masz Ty?

Tak, w gimnazjum poszłam na casting do Studium i przeszłam go pomyślnie, śpiewając m.in. piosenkę „Bring me to life” Evanescence i dołączyłam do zespołu, z którym podróżowałam, śpiewałam musicale, muzykę rozrywkową i tańczyłam. Na prywatnych lekcjach uczyłam się też śpiewu klasycznego. Moja pierwsza nauczycielka powiedziała, że jestem sopranem koloraturowym. Barwa głosu oczywiście nieco zmienia się z wiekiem. Na studiach poza musicałem i klasyką śpiewałam też jazz. Obecnie żaden gatunek muzyczny nie jest mi obcy, stosuję różne emisje głosu, mam bardzo dużą skalę.



Tina Popko, fot. Paweł Szeterlak

Poświęcenie czasu na naukę, treningi wymagało pełnego skupienia, wielu wyrzeczeń najpierw dziecka, a później nastolatki, co wtedy myślałaś, a co myślisz dzisiaj?

W dzieciństwie czasem było mi przykro, że mam znacznie mniej czasu na rozrywkę niż moi rówieśnicy, ale kocham muzykę i nie żałuję, że poświęciłam jej praktycznie całe życie, a te przyjaźnie, które miały przetrwać, przetrwały. Pamiętam, że mój pierwszy chłopak był niezadowolony, że rzadko się widzimy, bo ciągle się uczyłam, ale był dość wyrozumiały i ta relacja trwała dłużej niż czasy szkolne, więc jeśli komuś zależy, to wszystko można pogodzić. Niczego w życiu nie żałuję, zwłaszcza pracy nad swoim rozwojem i pasjami. Nie wyobrażam sobie życia bez muzyki. Jak powiedział Nietzsche, „życie bez muzyki jest błędem”.

Masz też wybitny talent lingwistyczny - władasz językiem angielskim z pełnym kunsztem mistrza i znasz też inne języki, do których masz dar. Studiowałaś filologię angielską na Politechnice Koszalińskiej, gdzie również jako jedyna miałaś możliwie najwyższą średnią ocen - 5.0! Jak wykorzystujesz

ten kolejny talent?

Brałam udział w badaniu zdolności językowych i rzeczywiście wynik był bardzo wysoki, są one ponadprzeciętne. Oprócz angielskiego uczyłam się również m.in. francuskiego, szwedzkiego, teraz rosyjskiego, znam też sentencje łacińskie. Zdarzało mi się śpiewać także po włosku, arabsku, niemiecku, hiszpańsku. Jedną z moich pasji są podróże, więc znajomość języków zawsze się przyda. Jak jechałam do jakiegoś kraju, np. do Włoch, również uczyłam się choć trochę tamtejszego języka. Poza tym, piszę też wiersze i teksty piosenek po angielsku oraz podejmuję się różnych tłumaczeń polsko-angielskich i angielsko-polskich, a także uczę tego języka. Jego znajomość daje także możliwość spróbowania swoich sił w aktorstwie i śpiewie za granicą.

Jakie jest Twoje pierwsze doświadczenie z teatrem?

Oczywiście już jako dziecko chodziłam do teatru, a po ukończeniu liceum miałam pierwszą styczność z profesjonalnym aktorem - Emilianem Kamińskim, który był pod wrażeniem mojego talentu aktorskiego i wokalnego i zgodził się bezinteresownie udzielić mi kilku lekcji. Mówił, że z moim talentem mógłby wpuścić mnie na scenę nawet po dwóch tygodniach pracy i trafnie przewidział, że bez problemu dostanę się do Szkoły Aktorskiej w Warszawie. Podeszłam do egzaminu wyłącznie w tym mieście.

Tina Popko, fot. Paweł Szeterlak





Mam informację, że miałaś najlepsze wyniki w nauce w Szkole Aktorskiej w Warszawie. Szkoła zapewniała przez to jakąś pomoc finansową, wsparcie?

Tak, dostawałam stypendium za najlepsze wyniki, a było to przewidziane dla bardzo niewielu osób. W drugiej kolejności, stypendium dostała jeszcze tylko jedna osoba.

Wkładałaś dużo energii w swój rozwój. Studiowałaś później także na kierunku wokalnno-aktorskim w Teatrze Muzycznym w Gdyni, gdzie obroniłaś dyplom aktorki scen muzycznych. Gdzie trudniej było się dostać - do szkoły warszawskiej czy gdyńskiej?

Dostałam się do obydwu renomowanych szkół bez problemu, jednak były osoby, które zdały egzamin np. dopiero za piątym razem, czyli po pięciu latach. Do

gdynskiej szkoły zdawało kilkaset osób, a dostało się 10 dziewczyn włącznie ze mną.

Opowiedz jak wyglądały Twoje egzaminy wstępne oraz jakie masz wspomnienia związane z tymi szkołami.

Egzaminy były rozłożone na dwa dni, był etap taneczny, kształcenie słuchu, dykcja, śpiew i aktorstwo. Po każdym z tych etapów można było odpaść. Trzeba było przygotować po kilka piosenek, wierszy, fragmentów prozy, były różne etiudy, zadania aktorskie do wykonania i oczywiście rozmowa. W Warszawie egzaminy wyglądały podobnie i za moich czasów przyjmowano mniej osób niż dziś. Miałam przyjemność być uczennicą m.in. śp. Jana Machulskiego. Z obydwu szkół wiele wyniosłam. W Warszawie przeważały zajęcia aktorskie, w Gdyni również było ich sporo, a dodatkowo mieliśmy dużo tańca i śpiewu. Zajęcia zaczynały się już we wrześniu, trwały nieraz od rana do wieczora, od poniedziałku do soboty, więc to naprawdę dobra szkoła. Aktorskie szkoły państwowe w Polsce są czteroletnie. Cieszę się, że ja studiowałam na tym kierunku aż sześć lat, z pewnością dużo mi to dało. W Teatrze Muzycznym w Gdyni występowałam już jako studentka, a wcale nie wszyscy studenci mieli taką szansę.



Tina Popko, fot. Paweł Szeterlak

Gdzie podjęłaś pierwszą współpracę po studiach?

Po studiach dostałam jedną z głównych ról w musicalu „Księżniczka Sara” w Teatrze Rampa w Warszawie. Mieszkając tam przez rok, podjęłam też wieloletnią współpracę z Teatrem Katarynka jako aktorka. Dodatkowo uczyłam śpiewu, gry na fortepianie, teatru i tańca. Po castingu w Rampie zaproponowano mi też kolejną główną rolę w musicalu „W cieniu”, ale tej drugiej ostatecznie nie przyjąłam, bo wyjechałam na koncerty wokalne na Bliskim Wschodzie.

Współpraca z innymi teatrami oraz wspaniałe recenzje teatrologów, reżyserów, choreografów, doktorów czy dziennikarzy zamieszczone na Twojej stronie dowodzą, że jesteś w ich oczach wybitną artystką. Opisz, proszę, jak reaguje publiczność podczas Twoich występów.

Miały miejsce owacje na stojąco, dostawałam kwiaty i bileciki również od nieznajomych. Zdarzało się, że przed moją garderobą zbierały się osoby czekające na autograf. To miłe uczucie, gdy to, co robisz, trafia do widza. O to przecież w

aktorstwie chodzi, by wywołać emocje, przemyślenia, zafascynować odbiorcę magią teatru. Zgadzam się z tezą Stanisławskiego, że należy pokochać teatr w sobie, a nie siebie w teatrze, więc ta radość, poczucie spełnienia, nie powinny być związane z próżnością.



„Księżniczka Sara”, reż. Teresa Kurpias-Grabowska , fot. Olga Cieślak



„Hotel Palace”, reż. Tomasz Czarnecki

Niewiarygodne, jak szybko Twoja kariera zaczęła nabierać tempa. Otrzymałaś propozycję i spróbowałaś swoich sił za granicą w Bahrajnie. Udowodniłaś, jak wielki masz talent, ponieważ spośród ogromnej ilości zgłoszeń wokalistów z całego świata wybrano właśnie Ciebie. Opowiedz, jak tam trafiłaś, z kim współpracowałaś, co tam robiłaś?

Gdy byłam w Warszawie, otrzymałam propozycję współpracy od pewnych muzyków. Nagraliśmy wspólnie demo, w którym śpiewałam, tańczyłam i stepowałam. Zgłoszenie zostało wybrane spośród wielu z całego świata i zaproponowano mi półroczny kontrakt. To była bardzo dobra i przyjemna praca, żyłam w luksusowych warunkach, robiłam to, co kocham, a dodatkowo miałam sporo wolnego czasu, który mogłam poświęcić na jazdę konną, bieganie, pływanie, zwiedzanie i naukę nowych piosenek, ponieważ stale poszerzam swój bogaty repertuar. Minusem były jednak prywatne stosunki z muzykami, którzy okazali się być religijnymi fanatykami, więc mimo że mieliśmy propozycje kolejnych kontraktów w innych krajach, podziękowałam im za dalszą współpracę. Oni proponowali inne wokalistki na moje miejsce, lecz nie dostali wtedy kontraktu i wrócili do Polski razem ze mną. Skupiam

się jednak na pozytywach i nie zapomnę cudownego uczucia, gdy występowałam przed widownią z wielu stron świata. Z niektórymi zdarzało się rozmawiać po koncercie, byli wśród nich muzycy, którzy doceniali mój talent. Po kontrakcie zwiedziłam cztery stany Indii i wróciłam do Bahrajnu, gdzie mieszkałam jeszcze przez rok, występowałam tańcząc w zespole Bollywood, uczyłam też stepu i baletu.



Występ taneczny w Bahrajnie

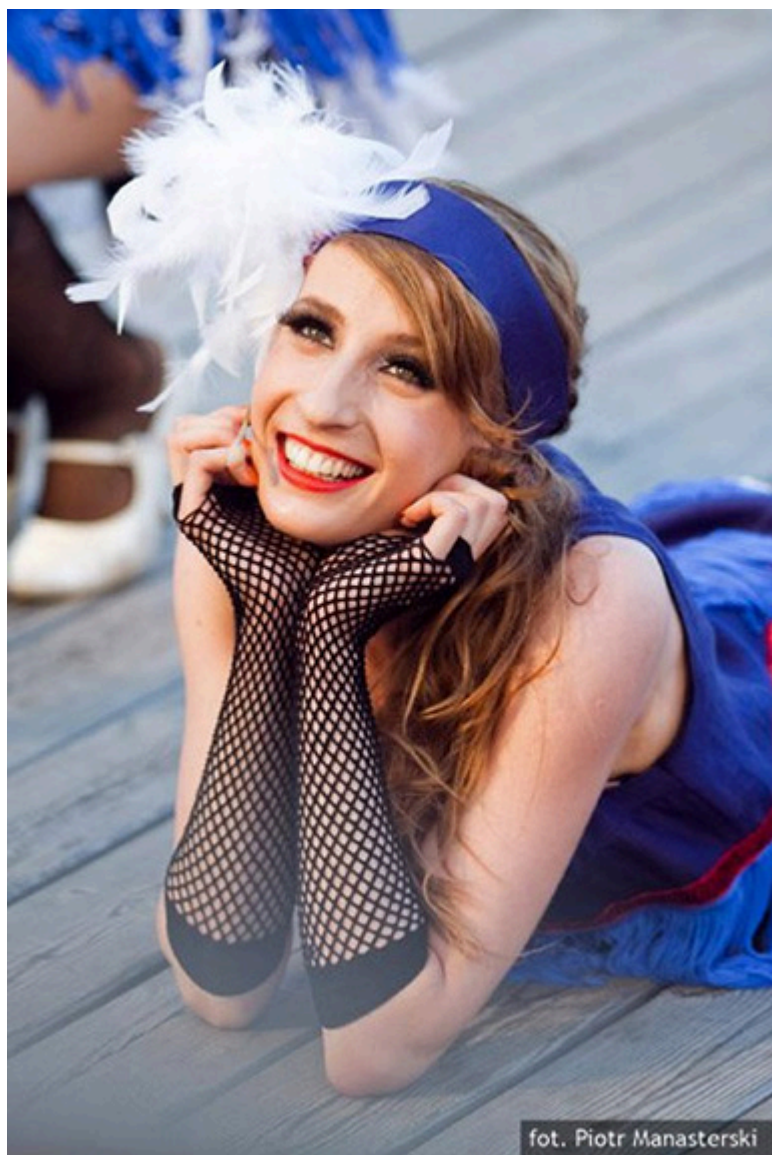
Wymień kilka plusów i minusów życia w Bahrajnie, jeśli chodzi o różnice np. w kulturze, mentalności ludzi, klimacie, w porównaniu z Polską.

W Bahrajnie skupiałam się na karierze. Nie mogłabym mieszkać tam na stałe, bo klimat mi nie odpowiadał. Przez większość roku temperatury były zbyt wysokie, wręcz nie dało się chodzić pieszo, więc wynajęłam sobie samochód. Zimy były dość chłodne i wietrzne. Klimatyzacja nie służy mojemu zdrowiu, ale plusem był brak alergii i wilgotność ciepłego powietrza. Lubiłam biegać w nocy, robiłam to po występach. Polski klimat też niezbyt mi odpowiada, jest za mało słońca w roku, a dla mnie mogłoby być ciągle lato. Nie lubię uogólniać, ale niestety większość Arabów, których poznałam, nie zrobiła na mnie dobrego wrażenia. Bywali nieempatyczni, agresywni, niesłowni, zaborczy i to w relacjach zawodowych lub koleżeńskich, bo innych nie było. Gdy mówią „inshallah”, to wiadomo, że tak naprawdę znaczy to

„nie”, ale nie chcą tego powiedzieć wprost. Zdarzył się pomocny i bezinteresowny wyjątek, ale raczej nie szukałam sobie znajomych wśród tej narodowości. Podczas ramadanu nie można było jeść i pić w miejscach publicznych, ale Arabowie oczywiście robili to w swoich domach, natomiast w nocy ucztowali na całego, bo przecież „w nocy Allah nie widzi”. W Polsce jednak też jest pełno hipokryzji. Na szczęście Bahrajn jest bardziej tolerancyjny i otwarty niż np. Arabia Saudyjska, więc mogłam ubierać się po europejsku, choć słyszałam o przypadku dziewczyny ukaranej za odsłonięcie zbyt dużej części ciała podczas ramadanu, więc zawsze jest ryzyko, że trafi się na kogoś, komu się to nie spodoba i zechce naskarżyć. W Bahrajnie byłam świadkiem wojny między sunnitami a szyitami; kiedyś tuż przy mojej ulicy zobaczyłam druty kolczaste oddzielające dzielnicę, mężczyźni walczących ze sobą, rzucających kamieniami, paliły się opony i unosiły się wysoko ciemne chmury dymu. Wtedy przez chwilę się wystraszyłam i pomyślałam: „co ja tutaj robię?” Jestem jednak odważna i wcale nie spakowałam wtedy walizki. Dostawałam rady z użyciem Coca-Coli i mleka w razie gdybym znalazła się w miejscu, gdzie poczuje gaz. I tak spędziłam w Bahrajnie łącznie półtora roku. Plusami tej wyspy były stajnie z pięknymi końmi i wielbłądami, luksusowe, piękne miejsca i duża ilość plaży oraz tanie paliwo (śmiech).

Masz również role telewizyjne na swoim koncie. Czy praca przed kamerą, kiedy jest się aktorką jest łatwiejsza?

Uwielbiam pracę zarówno w teatrze, jak i przed kamerą. Pamiętam, że przy pierwszych nagraniach do serialu nie dostałam żadnych uwag i operator stwierdził, że miałam już w tym doświadczenie. Reżyserzy zawsze byli zadowoleni, więc mogę stwierdzić, że przychodzi mi to łatwo. Zawsze jednak jestem bardziej za teatrem. Uważam, że jest on głębszą sztuką niż film, nieporównywalnie wręcz. Pomijając cały proces tworzenia, wszelkie filmowe sztuczki i oszustwa, teatralne „tu i teraz” oraz obecność widza, mam na myśli wzruszenie, które w teatrze nie wynika tylko z łez szczęścia lub smutku, jak w filmie. Ja płaczę w teatrze jak tylko poczuje tę magię, prawdę, dreszcz. I nie lubię tego tłumaczyć osobom siedzącym obok (uśmiech).



Tina Popko w spektaklu „Słodkie lata 20.,30...”, reż. Jan Szurmiej

Tak jak mówisz, film i teatr to dwa odmienne światy. O filmach mówi się, że grają tam aktorzy, a często są to osoby bez szkół aktorskich. Czy nie jest to obraza profesjonalistów, którzy zasłużenie ukończyli szkoły teatralne posiadając do tego odpowiednią wiedzę, doświadczenie, kwalifikacje i szczególnie, jak Ty, talent?

My, zawodowi aktorzy, nie mamy wpływu na to, że w tym zawodzie wiele ról obsadza się po znajomości i nieraz dostają je amatorzy. Nikt nie lubi, gdy ktoś mniej wykwalifikowany, nieprofesjonalny zabiera mu pracę, ale mimo wszystko wolę polegać na swoim talencie niż na znajomościach. Mamy w swoim środowisku takie zabawne określenie na „aktorów” bez szkoły, ale nie mogę go zdradzić (śmiej). Oczywiście amatorzy mogą mieć talent, ale warsztat i doświadczenie również są

bardzo ważne, więc szkoła dużo daje. Według mnie, tylko osoba, która ma zarówno talent, jak i warsztat (szkołę), może nazwać się profesjonalistą.

Jakie role wolisz grać? Który z rodzajów spektakli jest Tobie najbliższy?

Tutaj będzie ciężko zdecydować, ponieważ lubię zarówno dramat, musicale, poważne sztuki, jak i komedie. Gdybym miała do wyboru rolę grzecznego dziewczyny i czarny charakter, wybrałabym to drugie. Jestem jednak bardzo wrażliwa i pamiętam, że gdy przyszło mi grać złą kobietę, właścicielkę pensji, która okrutnie potraktowała swoją podopieczną, wzruszałam się w domu ucząc się roli, tak bardzo było mi żal poszkodowanej dziewczynki. Granie tych spektakli kosztowało mnie wiele energii, płakałam prawdziwymi łzami po zdemaskowaniu mojej postaci, zawsze daję z siebie 100%. Nie znaczy to jednak, że rolę romantycznie zakochanej dziewczyny uznałabym za nudną, chętnie bym ją przyjęła.

Masz jakieś wzorce ze świata aktorów?

Nikogo nie naśladowuję, bo też nie na tym polega dobre aktorstwo, a do moich ulubionych aktorów należą Robert de Niro i Leonardo DiCaprio. We własnej grze kieruję się systemem Stanisławskiego oraz metodami nauczonymi w szkołach, naturalnością i prawdą.

Druga część rozmowy ukaze się w poniedziałek, 19 października 2020 r.



Tina Popko w programie telewizyjnym „Szansa na sukces”

Tina Popko jest artystką o wielu talentach: aktorskim, wokalnym, muzycznym, tanecznym, kompozytorskim, poetyckim, plastycznym. Ukończyła Szkołę Muzyczną im. G. Bacewicz w Koszalinie w klasie fortepianu, uczęszczając także na dodatkowe zajęcia plastyczne. (...) Tina zakończyła edukację w Szkole Aktorskiej w Warszawie jako najlepsza studentka i rozpoczęła naukę na kierunku wokально-aktorskim w Teatrze Muzycznym w Gdyni. Na deskach tego teatru debiutowała już jako studentka (...) Wystąpiła w wielu spektaklach musicalowych i dramatycznych, m.in. „My Fair Lady”, „Grease”, „Shrek” w reż. M. Korwina, „Disco Polo- wieczór poezji śpiewanej”, „Hotel Palace” w reż. T. Czarneckiego, „Maszyneria mitu” w reż. T. Podsiadłego (...) Po studiach zasłynęła w warszawskim teatrze „Rampa” rolą Panny Minchin w spektaklu „Księżniczka Sara” w reż. Teresy Kurpias-Grabowskiej i nagrała pierwszą płytę - z piosenkami musicalowymi (...) Śpiewała dla widowni z wielu stron świata, a także została gwiazdą profesjonalnego hinduskiego zespołu tanecznego (...) Była również nauczycielką stepu dla dorosłych i baletu dla dzieci, m.in. w Ballare School of Performing Arts i w Harmony Music Gate w Bahrajnie (...) (Biografia ze strony internetowej artystki).

Występując zwiedziła już Europę oraz Azję i nadal daje koncerty, spełnia się też jako aktorka teatralna i telewizyjna. Dodatkowymi atutami Tiny jako aktorki są zainteresowania wieloma dziedzinami sztuki i nauki, umiejętność jazdy konnej na poziomie zaawansowanym i znajomość języków obcych. Ponadto, artystka ma duże doświadczenie w dubbingu, użycza głosu do reklam, audiobooków, gier komputerowych.

Linki:

Strona Internetowa: <http://www.tinapopko.com.pl/>

Nowa strona: <http://tinapopko.pl/>

Facebook: <https://www.facebook.com/Tina-Popko-actress-singer-model-103102661290658>

Kanał YouTube: https://www.youtube.com/channel/UC_aFPggDoqWppYNJvcaw2yQ

Instagram: <https://www.instagram.com/tina.popko/>

Janina Smolińska: amerykański sen pięknej Polki



Janina Smolińska w Hollywood, fotografia sytuacyjna (fot. ze zbiorów NAC, Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny - Archiwum Ilustracji. Sygnatura: 1-K-9047)

Marek Teler

Niewielu jest Polaków, którzy osiągnęli ogromne sukcesy w Hollywood. W dwudziestoleciu międzywojennym było ich kilku. Historia Janiny Smolińskiej, która próbowała wtedy zawojować wytwórnie filmowe Los Angeles, pokazuje przy tym, że amerykański sen może zakończyć się równie prędko, jak zacząć.

Aktorka, tancerka, nieoficjalna Miss Polonia i korespondentka zagraniczna magazynu „Kino” - w latach 20. i 30. XX wieku Janina Smolińska była w Polsce uważana za międzynarodową gwiazdę wielkiego formatu. Dziennikarze walczyli o możliwość przeprowadzenia z nią wywiadu, a o jej skomplikowanych małżeńskich perypetiach rozpisywała się amerykańska prasa bulwarowa. Dzisiaj aktorka ta jest postacią całkowicie zapomnianą. Na szczęście prasa sensacyjna z okresu dwudziestolecia międzywojennego pozwala nam częściowo zrekonstruować jej złożony życiorys.

Na scenach Moskwy i Paryża

Janina Smolińska przyszła na świat w 1897 roku na Mazowszu jako córka Edwarda Smolińskiego i Wandy z Rutkowskich. Rok urodzenia artystki znany jest z listy pasażerów transatlantyku płynącego z portu Cherbourg do Nowego Jorku w 1928 roku, tam też podano jako miejsce urodzenia „Poltzk”, czyli Płock. Nie można jednak wykluczyć, że Smolińska, chcąc ukryć fakt urodzenia się na wsi, podała w dokumentach nazwę najbliższego większego miasta. W latach 1899–1908 rodzice Smolińskiej mieszkali bowiem we wsi Konopki w gminie Stupsk, gdzie urodziło się młodsze rodzeństwo aktorki: w 1899 roku Zofia, w 1905 roku Czesław, a w 1908 roku Wiktoria.

W późniejszych latach Janina Smolińska wzorem wielu koleżanek po fachu często odejmowała sobie lat. W akcie ślubu z 1931 roku podała rok urodzenia 1899, zaś w wywiadzie dla „Rzeczypospolitej” z grudnia 1928 roku oszukała dziennikarza, że urodziła się w 1905 roku w Warszawie. Zalotnie dodała przy tym: „Z wieku mojego nie robię żadnej tajemnicy”.

Kiedy Janina miała czternaście lat, rodzice wyjechali z nią do Rosji. Jako, że od wczesnego dzieciństwa fascynowała się teatrem i tańcem, państwo Smolińscy zapisali ją do szkoły baletowej działającej przy operze moskiewskiej. W wywiadzie dla „Kina”, w którym aktorka opowiadała o swojej młodości, nie padła wprawdzie nazwa tej instytucji, ale z całą pewnością musiał to być słynny Teatr Bolszoi, który od wielu lat patronował Moskiewskiej Akademii Choreografii. W tym czasie Akademii przewodził wybitny baletmistrz i choreograf Wasilij Tichomirov. Dyrektor ten uczył tańca w sposób bardzo klasyczny, unikając wkradającego się do sztuki baletowej nowatorstwa.

Smolińska okazała się pilną uczennicą i szybko stała jedną z głównych tancerek w zespole. Wkrótce wraz z grupą taneczną wyruszyła na światowe tournée. Przez cztery lata młode dziewczęta podróżowały przez centrum Rosji, Syberię, Mandżurię, Japonię, Turcję, Bułgarię, Rumunię i Czechosłowację. Polska tancerka miała wówczas okazję występować na scenach w Piotrogradzie (Petersburgu), Tokio i Konstantynopolu. „Nie straciła Ojczyzna moja w mych oczach na zestawieniu z najbogatszymi czy najpiękniejszymi krajami na którejkolwiek półkuli świata. Podziwiać można ziemię obce i nieraz można zachwycać się nimi i lubić szczerze to

albo inne otoczenie; ale ziemię swoją rodzoną miłuje się przecież jak matkę” – pisała o swoich licznych zagranicznych wjazdach w korespondencji dla „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” z marca 1930 roku.

W 1918 roku Janina została zaangażowana jako koryfejka (baletnica tańcząca w wyróżnionej grupie tancerek, ale jeszcze nie solistka) do baletu w Jassach i zapewne jeszcze w tym samym roku wyszła za mąż za pułkownika rumuńskiej armii. Nigdy nie podała w żadnym wywiadzie jego nazwiska, był to zresztą bardzo krótki związek. Pierwszy mąż Smolińskiej, stojący po stronie białych, zginął wkrótce w czasie walk z bolszewikami. Po śmierci męża, dowiedziawszy się o odzyskaniu przez Polskę niepodległości, stęskniona za ojczyzną tancerka porzuciła szkołę baletową i postanowiła wrócić do odrodzonego kraju.

W Polsce Janina Smolińska spróbowała swoich sił w aktorstwie. Wiadomo, że w 1922 roku wystąpiła w niemym filmie *Za trzy spojrzenia* produkcji wytwórni Estefilm Katowice, zaś w 1923 roku w *Od kobiety do kobiety*, w którym główną rolę grał jeden z najwybitniejszych polskich aktorów teatralnych – Józef Węgrzyn. Mając wciąż w pamięci sale pełne ludzi oglądających jej występy taneczne, Smolińska liczyła na to, że w krótkim czasie stanie się gwiazdą filmową. Na wielką karierę w Polsce nie miała jednak większych szans. „Grałam w kilku filmach polskich, ale wyniki pracy były tak znikome, że liczyć się z nią nie należy” – wspominała ten epizod z życia na łamach „Kina” w 1932 roku.

W 1924 roku wyjechała więc do Paryża, gdzie postanowiła wrócić do korzeni i zatrudnić się jako tancerka. Nabyte w prestiżowej Moskiewskiej Akademii Choreografii umiejętności sprawiły, że po kilku miesiącach spędzonych w teatrze Palace stała się jedną z głównych gwiazd Folies Bergère, kultowej paryskiej sali koncertowej. W 1925 roku wystąpiła między innymi jako *Le Chianti* u boku francuskiej aktorki Suzy Béryl w rewii *Un Soir de Folie*. Smolińska nie bała się wyzwania i nagich scenicznych występów przed ogromną widownią. Wieść o rewiach z udziałem Polki szybko dotarła do polskiej prasy. W lutym 1926 roku jedna z lwowskich gazet opisała spektakl, w którym Smolińska grała japońską kurtyzanę: „«Robiła» ją Smolińska zupełnie naga, zasłaniając jedynie trzymanym w rękę czarnym kotem miejsca, które pruderia, nieprzewyciężona nawet przez współczesne music-halle, każe na scenie zasłaniać”.

Jednocześnie jednak Janina Smolińska nie rezygnowała z ambitniejszych przedsięwzięć. W Paryżu zagrała w kilku nowatorskich filmach wytwórni Pathé, łączących animację z grą prawdziwych aktorów. Nad całością prac czuwał pionier polskiego filmu rysunkowego, Stanisław Dobrzyński. „Paryż pieścił mnie, jeśli się można tak wyrazić. Role miałam pierwszorzędne, uznanie krytyki, jakie tylko wymarzyć sobie można i objawy uwielbienia ze strony publiczności” – wspominała na łamach „Ikaca” w 1930 roku. Wkrótce o urodzie polskiej tancerki z Folies Bergère zrobiło się głośno, piękno pomogło jej też w późniejszych latach dostać się do Hollywood.



Fotos z filmu Monsieur Le Fox. W środku z pakunkiem stoi Gilbert Roland. Po jego lewej stronie (oznaczona jako „I” – Lena Molena, po prawej, oznaczona jako „II” – Janina Smolińska (fot. ze zbiorów NAC, Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny – Archiwum Ilustracji. Sygnatura: 1-M-2787-2)

U bram Hollywood

13 września 1927 roku Janina Smolińska wzięła udział w wyborach „La belle de Deauville”, w których nagrodą miała być główna rola kobieca w filmie o tym samym tytule w reżyserii Henriego Diamanta-Bergera. Podobny konkurs miał też na celu

wyłonienie głównej roli męskiej. Ostatecznie w żeńskiej kategorii zwyciężyła panna Renée Méré i to ona podpisała kontrakt filmowy z wynagrodzeniem wynoszącym 50 tysięcy franków za rolę. Smolińska zajęła drugie miejsce, ale ponieważ nie wybrano w konkursie żadnego mężczyzny, podjęto decyzję, że również zostanie zaangażowana do filmu w jednej z głównych ról. O samej produkcji, jeżeli w ogóle została nakręcona, brak jakiegokolwiek informacji.

Z kolei pod koniec maja 1928 roku artystka uczestniczyła w konkursie piękności aktorek filmowych w Brukseli. Wyróżniała się na tle innych kandydatek niebanalną urodą, dzięki czemu pokonała trzysta innych kobiet z całego świata i otrzymała tytuł nieoficjalnej polskiej Miss Polonia (pierwszą polską miss z prawdziwego zdarzenia została rok później warszawianka Władysława Kostakówna). Tak opisywał urodę Smolińskiej cztery lata później dziennikarz „Kina”: „Uroda - niezwykle oryginalna i frapująca, chwilami nawet niepokojąca. Heban włosów, głęboko osadzone, żywe i pełne niesamowitego blasku oczy i uśmiech... dziecka. Cocktail. Dziwne połączenie wampira i dziecka”. Urodę polskiej gwiazdy doceniono również na konkursach piękności w Londynie i Paryżu.

„Dostaję tysiące propozycji małżeńskich, nawet z najbardziej egzotycznych krajów. Jestem stale oblegana przez ciekawych, niedających mi spokoju fotografów. Ach, panie, jakim przekleństwem jest dla mnie czasami moja piękność” - narzekała nieskromnie na nadmierną popularność w rozmowie z dziennikarzem „Rzeczypospolitej” w grudniu 1928 roku.

23 listopada 1928 roku Janina Smolińska po ośmiodniowej podróży przybyła z Francji do USA. W polskiej i amerykańskiej prasie pisano, że brała udział w wyborach Miss Universe w Galveston, w Teksasie, lecz nie figuruje ona na liście kandydatek do tytułu. Ponadto teksański konkurs Miss Universe 1928 odbył się 4 czerwca 1928 roku, zatem urodziwa Polka musiała wziąć udział w innym konkursie piękności, być może również noszącym nazwę „Miss Universe”. Wiosną 1929 roku występowała między innymi w teatrze Capitol w Detroit, a polskie dzienniki sensacyjne pisały o jej planach poślubienia księcia Sergiusza Wołkońskiego, prowadzącego w tym mieście szkołę fechtunkową. Ostatecznie jednak do małżeństwa nie doszło, a artystka po kilku miesiącach wyjechała do Los Angeles.

Wkrótce Smolińska otrzymała ofertę zagrania w kilku hollywoodzkich filmach wytwórni First National Pictures oraz Metro-Goldwyn-Mayer. Już po kilku miesiącach trafiła na plan „Płomiennej piosenki” w reżyserii Alana Croslanda. Praca w Hollywood nie należała jednak do najłatwiejszych. W 1930 roku tak żaliła się warszawskiemu miesięcznikowi „Naokoło świata”: „Trzeba przecież ciągle ładnie wyglądać, a skąd czerpać to piękno, gdy się jest bezustannie niewyspaną. Nie można tu myśleć o swobodzie, a zawsze trzeba pozować, ciągle trzeba być lalką i choć nie dla filmu a jednak grać. Zawsze trzeba być ostrożną i sprytną, zawsze stosować więcej dyplomacji, niż zaufania. A w dodatku tego wszystkiego bardzo często nie rozumieć co zazdrosne usta mówią lub nawet nie rozumieć co życzliwie radzą”.

Do filmów malował ją jednak wybitny Max Factor (Maksymilian Faktorowicz), a poza tym była otoczona kwiatami i luksusowymi willami, w których mieszkały największe gwiazdy kina, zatem nie miała na co narzekać. W „Płomiennej piosence” polska artystka kierowała 300-osobową grupą taneczną, lecz jej rola należała do drugoplanowych.

Nie obyło się też bez małego skandalu z udziałem tancerki – kiedy reżyser Crosland zdążył już krzyknąć „Kamera, akcja!”, okazało się, że strój Smolińskiej jest zbyt skąpy jak na ówczesne wymagania hollywoodzkich cenzorów. Ostatecznie film odniósł ogromny sukces i doczekał się nawet nominacji do Oscara za najlepszy dźwięk. Rok później na ekranach kin pojawił się „Monsieur Le Fox”, w którym również można było zobaczyć polską piękność. W tym czasie o Janinie Smolińskiej zrobiło się w polskiej prasie sensacyjnej naprawdę głośno. Do kraju napływały zdjęcia z Hollywood. Polka pojawiała się na nich obok takich gwiazd, jak choćby Gilbert Roland, wybitny amerykański aktor meksykańskiego pochodzenia.

Z kolei zagraniczny dziennik „Hollywood News” nazwał Smolińską jedną z najurodziwszych i najbardziej utalentowanych artystek.

W Mieście Aniołów z pewnością pomagali odnaleźć się Smolińskiej inni przedstawiciele tamtejszej Polonii. W tym samym czasie karierę w USA robił między innymi niegdysiejszy student Politechniki Warszawskiej, Edward Zylberberg-Kucharski, obsadzany w amerykańskich filmach w rolach latynoskich kochanków pod pseudonimem Eduardo Raquello. Pod obco brzmiącymi nazwiskami, takimi jak Pola Negri, Gilda Gray czy Estelle Clark, kryły się aktorki polskiego pochodzenia –

Apolonia Chałupiec, Marianna Michalska i Stanisława Zwolińska. W Ameryce od kilku lat przebywał również Paweł Faut, którego Smolińska poznała w Polsce na planie filmu „Za trzy spojrzenia”. Młody aktor był aktywnym działaczem Polonii, a jego płyta „Polish Eagles” sprzedała się w USA w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy.

Smolińska zaangażowała się w informowanie polskiej prasy o losach mieszkańców Los Angeles, zostając korespondentką zagraniczną magazynu „Kino” i dziennika „Ilustrowany Kurier Codzienny”. Dzielila się między innymi najnowszymi informacjami na temat Greta Garbo, Carol Lombard i Clary Bow. Z kolei w listopadzie 1930 roku donosiła o kryzysie przemysłu filmowego w Hollywood i plotkach na temat planów przeniesienia całego biznesu do Nowego Jorku. „Mary Pickford i Charlie Chaplin sprzeciwiają się temu, bo nie chcą opuścić słonecznej Kalifornii, ale też nie chcą uwierzyć w podszepty zakulisowych finansistów, których „genialne” pomysły mogą znów doprowadzić do katastrofy tak, jak się obraca w katastrofę „business” filmu dźwiękowego, a to z przyczyn, które zaraz wytłumaczę” – snuła swoją dramatyczną wizję artystka. Ostatecznie stolica amerykańskiej kinematografii pozostała na swoim miejscu, chociaż już wkrótce zabrakło w niej miejsca dla Janiny Smolińskiej.



Jan Kiepura i Janina Smolińska
w Paryżu w 1928 roku
(fot. ze zbiorów NAC, Koncern
Ilustrowany Kurier Codzienny -
Archiwum Ilustracji.
Sygnatura: 1-K-8269)



Janina Smolińska na fotografii
sytuacyjnej (fot. ze zbiorów NAC,
Koncern Ilustrowany
Kurier Codzienny - Archiwum Ilustracji.
Sygnatura: 1-K-9046)

Czar pryska

Problemem dla polskiej artystki okazało się prawo pobytu w Stanach Zjednoczonych. Ze względu na pracę w wytwórni First National Pictures, 23 listopada 1929 roku przedłużono jej możliwość legalnego przebywania w Ameryce o pół roku, lecz po tym czasie Smolińska z jakiegoś powodu nie zwróciła się z wnioskiem o kolejną prolongatę. Możliwe, że przez te właśnie kłopoty aktorki Universal Pictures

zrezygnowało z obsadzenia jej w głównej roli w jednym ze swoich filmów. Sytuacja stała się na tyle poważna, że 16 czerwca 1931 roku wydano wobec Smolińskiej nakaz aresztowania. 22 czerwca artystka znalazła się w więzieniu, lecz natychmiast, po wpłaceniu kaucji w wysokości 500 dolarów, została uwolniona. O wszystkich wydarzeniach związanych z problemami pięknej Polki w Hollywood skrupulatnie informowały amerykańskie dzienniki, między innymi „Reading Eagle”, „Pittsburgh Post-Gazette” i „Miami Daily News”. Na wydłużenie prawa pobytu w Stanach Zjednoczonych imigranci mieli różne sposoby. Jednym z najpopularniejszych były krótkie wyjazdy do Meksyku, po których mogli automatycznie odnowić prawo zamieszkania w USA.

Janina Smolińska znalazła inny sposób – małżeństwo. 3 września 1931 roku w Santa Ana w Kalifornii Smolińska zawarła cywilny ślub z 47-letnim rozwiedzionym przedsiębiorcą Wacławem Walterem Grabowskim, który na początku XX wieku wyemigrował do Stanów Zjednoczonych z Raciąża. Prowadził on firmę, która dostarczała peruki do hollywoodzkich filmów. Wybranek Janiny był również aktywnym działaczem polonijnym, prezesem zrzeszenia polsko-amerykańskich klubów w Kalifornii. W 1928 roku podejmował w swoim mieszkaniu Jerzego Jelińskiego, polskiego harcerza, który w ciągu dwóch lat objechał samochodem świat dookoła.

Małżeństwo z Grabowskim było wyjątkowo nieudane, a początkowa sielanka szybko zamieniła się w koszmar. Biznesmen zarzucał żonie, że późno wraca do domu i źle się prowadzi, a 31 grudnia 1931 roku w tajemnicy przed nią złożył pozew o rozwód. Rozpoczęło to prawdziwą batalię w sądzie i na łamach prasy. Smolińska pokazywała sędziemu Charlesowi B. McCoyowi posiniaczone ramiona i nogi, kreując się na ofiarę przemocy domowej. Grabowski z kolei mówił, że to żona zaatakowała go pierwsza, czego dowodem miało być jego podbite oko. Według Janiny i jej adwokata, L. A. Blooma, wina leżała po stronie męża.

Pierwotnie miał zgodzić się na ślub w celu przedłużenia aktorce pobytu w Kalifornii oraz na jej wyjazd na kilka miesięcy do Polski. Kiedy jednak Smolińska czekała na pociąg do ojczyzny, dowiedziała się z prasy, że Grabowski złożył pozew rozwodowy. Chociaż w połowie lutego 1932 roku Walter Grabowski wycofał pozew i pogodził się z żoną, medialna szopka, którą małżonkowie urządzili w amerykańskiej prasie,

poważnie zaszkoziła ich karierze. Janina chciała przede wszystkim odpocząć i wrócić do ojczyzny, gdzie czekali na nią z utęsknieniem krewni i dziennikarze, dla których nadal miała nieskazitelną opinię. Jeszcze w trakcie procesu rozwodowego, 5 lutego 1932 roku, wsiadła więc w pociąg do Nowego Jorku, skąd miała się udać w drogę powrotną do Polski. Jak utrzymywali znajomi Grabowskich, to Walter kupił żonie bilet i dał tysiąc dolarów na nieprzewidziane wydatki na trasie.

Po krótkim pobycie w Paryżu, 29 maja 1932 roku Smolińska znalazła się już w Hotelu Europejskim w Warszawie, gdzie udzieliła wywiadu przedstawicielowi magazynu „Kino”. Pragnęła odpoczynku od nadmiernego zainteresowania, jakie w ostatnim czasie wywołała. „Wyjeżdżam nad polskie morze, na Hel. Niech się trochę pocieszę jego widokiem” – opowiadała o swoich planach na łamach gazety. W rozmowie zwierzyła się również z pomysłu nakręcenia filmu „Emigrant”, opowiadającego o losach polskiej emigracji w Ameryce. Ostatecznie produkcja nie została zrealizowana.

Powrót do korzeni

Smolińska miała spędzić w Polsce tylko pół roku, ale została na prawie dwa lata, budząc powszechny podziw na warszawskich salonach. Na początku 1933 roku wzięła udział w Balu Mody w Hotelu Europejskim, na którym otrzymała pierwszą nagrodę za suknię balową ze rdzawej tafty dzieła popularnego warszawskiego domu mody Goussin Cattley. Pobyt w ojczyźnie zaowocował jednak również kolejnym skandalem obyczajowym z udziałem Smolińskiej. 18 maja 1933 roku na łamach „Dobrego Wieczoru” ukazała się informacja, że pisarz Stanisław Brochwicz-Kozłowski, jakoby narzeczony aktorki, oskarżył ją o przywłaszczenie 2500 zł i cennych kosztowności oraz pobicie. Wszystko było oczywiście wierutnym kłamstwem, do czego po tygodniu przyznał się sam autor pomówień. „Wszelkie zarzuty przeciw p. Janinie Smolińskiej o przywłaszczenie i działanie na moją szkodę są pozbawione prawdy. Dobre imię p. Smolińskiej, która tak wiele zdziałała na całym świecie dla propagandy polskiej sztuki, nieskazitelnosc i szlachetność jej charakteru wykluczają możliwość popełnienia przez nią czynów nieetycznych” – tłumaczył w liście do redakcji „Dobrego Wieczoru” Brochwicz-Kozłowski, załączając przeprosiny za wyrządzoną jej krzywdę moralną. Sam autor zamieszania, który już przed wojną sympatyzował z nazistami, zostanie w 1941 roku zamordowany przez polskie podziemie jako niebezpieczny agent gestapo.

Mimo afery z Brochwiczem-Kozłowskim Smolińska bardzo miło spędziła czas w ojczystym kraju. W listopadzie 1933 roku zachwycała się na łamach lwowskiej „Awangardy” perspektywą budowy w Brzuchowicach pod Lwowem nowej wytwórni filmowej, stale podkreślała też swoją troskę o Polskę i jej obraz na arenie międzynarodowej. „Wszystko się ogromnie posuwa naprzód. Jedno mam tylko zastrzeżenie: za mało jest u nas reklamy i propagandy, za mało krzyczymy o sobie” – mówiła o kraju w rozmowie z dziennikarzem Karolem Fordem tuż przed kolejnym wyjazdem do Hollywood w styczniu 1934 roku. Chwaliła się również, że podczas pobytu w Los Angeles ogłosiła międzynarodowy konkurs na najpiękniejsze pismo filmowe, w którym „Kino” zdobyło pierwszą nagrodę. To właśnie z tym pismem Smolińska miała zawsze najlepsze relacje, pojawiła się w nim nawet jako gwiazda z okładki (w 1930 roku jej kadr z filmu „Płomienna piosenka” trafił też na okładkę „Światowida”). W Mieście Aniołów czekali na nią mąż Walter Grabowski oraz wytwórnia First National Pictures, która postanowiła odnowić z nią kontrakt, ale amerykański sen nie spełnił się już po raz drugi. Paryż, w którym miała się zatrzymać w drodze do Stanów Zjednoczonych, z jakiegoś powodu stał się jej domem na kolejne lata.

W lipcu 1934 roku Janina Smolińska w wywiadzie udzielonym dziennikarce „Kina” Thei Weinberg, piszącej jako Thea Incognito, zdradziła, że Folies Bergère chce ponownie nawiązać z nią współpracę. Nie była jednak pewna, jaką podjąć decyzję. „Mam dość kontraktów i dosyć... doświadczenia” – tłumaczyła. Pracowała w tym czasie nad własną rewią objazdową, planowała wyjazdy do Ameryki Południowej i Afryki Północnej oraz chwaliła się propozycjami filmowymi od francuskiego studia Pathé-Natan i polskiego reżysera Jana Kucharskiego. Pierwszą ofertę odrzuciła od razu – właściciel Pathé Bernard Natan cieszył się w prasie złą sławą, a jego firma miała już w tym czasie duże problemy finansowe. Druga propozycja zakładała wyjazd na kilka miesięcy na afrykańską wyspę Fernando-Po (obecnie Bioko). „Czy film na Fernando-Po jednak porwie Smolińską, czy też jej praca nad rewią, twórcza i samodzielna zatrzyma ją na dłużej?” – zastanawiała się reporterka „Kina”.

W czerwcu 1935 roku polska artystka pojawiła się na okładce „Paris Music Hall”. W skąpym kostiumie rewiowym, ze smukłą sylwetką baleriny podpisana jako „Janina Smolińska. Gwiazda Hollywood” promowała najnowsze przedstawienie, w którym brała udział. Po niemal dziesięciu latach szukania swojego miejsca w świecie

wybrała powrót do korzeni, na deski ukochanej sceny Folies Bergère. Nie chciała jednak tylko występować. Lata pracy na scenie sprawiły, że postanowiła podzielić się swoją cenną wiedzą z innymi młodymi dziewczętami, które również marzyły o karierze tanecznej. Pod koniec lat 30. Smolińska założyła własny zespół baletowy o nazwie Balet Polski, do którego zaangażowała polskie tancerki mieszkające we Francji. Część organizowanych przez artystkę spektakli miała charakter typowo rewiowy, chociaż zdarzały się również tańce dziewcząt w polskich strojach ludowych.

W 1938 roku występ zespołu Smolińskiej w Paryżu oglądał między innymi konsul generalny Rzeczypospolitej, Stanisław Kara. O polskiej gwiazdzie znów rozpisywała się prasa, a Smolińska znalazła swoje miejsce na ziemi. W czerwcu 1939 roku magazyn „As” donosił o występach baletu Baletu Polskiego w Nicei i planach światowego tournée grupy, którego zwieńczeniem miał być występ w Nowym Jorku. Dziennikarz „Asa” tak pisał o zespole Smolińskiej: „Francuzi oceniają niezmiernie życzliwie działalność artystyczną świetnej tancerki Janiny Smolińskiej, jak również jej owocną pracę pedagogiczną, która daje pierwszorzędne rezultaty”.

Działalność „Baletu Smolińskiej”, jak ochrzciła go polska prasa, została jednak brutalnie przerwana przez wybuch II wojny światowej. W okresie działań zbrojnych Janina Smolińska nie zapomniała o swojej ojczyźnie i angażowała się w życie kulturalne francuskiej Polonii. 16 lutego 1940 roku paryski „Narodowiec” donosił, że gościła na uroczystej premierze spektaklu Teatru Polskiego w Paryżu z udziałem emigracyjnych władz, gdzie w główne role wcielali się m.in. Zbigniew Ziemiński i Irena Eichlerówna. O dalszych losach artystki wiadomo niewiele.

Jeszcze w latach 50. mieszkała w Paryżu przy Rue Saint-Marc. W 1954 roku prestiżowe pismo taneczne „Dancing Times” donosiło, że artystka założyła własną szkołę taneczną i planuje realizację nowego programu baletowego. Z rodzimych gazet zniknęła jednak całkowicie. W prasie pogrążonej w mrokach stalinizmu Polski Ludowej nie było już miejsca, aby informować o Polce, która próbowała podbić Hollywood i z sukcesem zawojowała Paryż.

Marek Teler: Zapomniani artyści II Rzeczypospolitej, Promohistoria

(Histmag.org), Warszawa 2019.



Wśród polskich biografów zajaśniała nowa gwiazda! Dziennikarz Marek Teler – nieustrudzony i utalentowany detektyw – z niespotykaną drobiazgowością przeprowadził serię śledztw dotyczących losów polskich artystów, którzy podczas II wojny światowej opuścili krąg scenicznych reflektorów i rozplynęli się w mroku. Po dekadach możemy poznać ich historie, które okazują się bardziej zdumiewające i zawikłane od ich filmowych i estradowych kreacji – mówi o książce Marcin Szczygielski.

Marek Teler (ur. 1996) – dziennikarz, popularyzator historii, bloger. Współpracownik portalu historycznego Histmag.org i czasopisma „Focus Historia”.

Interesuje się między innymi historią kobiet oraz genealogią. Autor książek: „Kobiety króla Kazimierza III Wielkiego” oraz „Kochanki, bastardi, oszuści. Nieprawe łoża królów Polski: XVI-XVIII wiek”.

Wśród polskich aktorów dawnego kina światową sławę osiągnęli nie tylko Eugeniusz Bodo, Mieczysław Fogg czy Jan Kiepura, ale także mnóstwo innych osób, których błyskotliwe kariery legły w gruzach po wybuchu II wojny światowej. Marek Teler w swojej najnowszej książce „Zapomniani artyści II Rzeczypospolitej” na nowo odkrywa historie zapomnianych polskich gwiazd. Poznajemy m.in. losy sławnej Iny Benity, odkrywamy kłamstwa arystokraty-skandalisty ukrywającego się pod pseudonimem „Harry Cort” oraz podążamy za karierą Edwarda Raquello, etatowego amanta Hollywood, a później wymagającego szefa „Głosu Ameryki”, a także wielu innych artystów, których zawile życiorysy same w sobie stanowiłyby scenariusz dobrego filmu. Dużą wartością książki są cenne źródła historyczne, takie jak relacje członków rodziny, wypowiedzi z ówczesnych czasopism czy oryginalne zdjęcia, dzięki którym można porównać współczesne ideały piękna z tymi przedwojennymi.

Od wydawnictwa

Książka Marka Telera ukazała się w wersji papierowej: 14.01.2020 r. Jest dostępna w formie papierowej: https://histmag.org/fizyczny_sklep oraz elektronicznej: <https://histmag.org/sklep>

„Gry miłosne” w Chicago

Z wielokrotnie nagradzonym amerykańskim pisarzem i reżyserem polskiego pochodzenia, Mariuszem Kotowskim - rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka.



Mariusz Kotowski, fot. J. Sokołowska-Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

W marcu w Copernicus Center w Chicago będzie miała premierę twoja najnowsza sztuka teatralna „Gry miłosne”. Sądząc po tytule można się domyślać, że jest to komedia romantyczna, napisana z okazji Walentynek. Czy tak jest w istocie?

Mariusz Kotowski:

Myszę, że to jest raczej tragikomedia albo komedia psychologiczna. Ma uniwersalne przesłanie. Powinna podobać się publiczności, bo każdy znajdzie w niej coś ze swojego życia. Jedna z bohaterek - Izabela w pewnym momencie mówi, że miłość, jest jak gra w karty, wygrywa ten kto ma mocniejszą kartę. Na tym można zbudować intrygę i pokazać perypetie bohaterów.

Jak w „Skizie” Gabrieli Zapolskiej, która to sztuka cię zainspirowała.

Tak, studiowałem Gabrielę Zapolską, bardzo lubię jej twórczość. Jest ona interesująca pod względem psychologicznym, pokazująca ludzi takich, jacy są. Natomiast same sztuki według mnie są płaskie, nie koniecznie zagłębiają się w psychologię. Taka zresztą była wtedy konwencja teatralna. Ja, inspirując się Zapolską idę dalej i staram się pokazać różne pokłady emocjonalne, które tkwią w bohaterach. Korzystam też ze współczesnych sytuacji życiowych i na nich bazuję.

Na czym polega intryga w sztuce?

W 2017 roku byłem w Polsce, w Józefowie pod Warszawą. Tam przyszedł mi do głowy pomysł na tę sztukę i tam zacząłem ją pisać. Dlatego akcja rozgrywa się właśnie w Józefowie.

W sztuce występują dwa małżeństwa. Do młodszej pary – Patrycji i Huberta, przyjeżdżają na weekend ich starsi kuzyni – Izabela i Fabian. Na początku wszystko wygląda niewinnie, jednak w czasie tego weekendu dużo się wydarzy. Fabian rozkochuje w sobie młodą i naiwną Patrycję, jego żona Izabela, cały czas manipulująca sytuacją, w pewnym momencie jednak straci kontrolę i się orientuje, że gra może przestać być grą, a Fabian naprawdę może ją zostawić dla Patrycji. Patrycja jest naiwna życiowo, nigdy nie spotkała nikogo, kto by nią manipulował i miał złe zamiary. Idzie do Fabiana, bo tak jej mówi ciocia Izabela. Gdy jednak zdaje sobie sprawę z tego, że wszystko to jest tylko gra, dojrzewa i staje się inną osobą, dużo bogatszą o życiowe doświadczenie. Gdy ciotka z wujkiem wyjeżdżają, wszystko wraca do normy. Po tych perypetiach młoda para dochodzi do wniosku, że wprawdzie huragan przeszedł przez ich dom, ale oni będą żyć dalej, silniejsi i dojrzałsi.

Czym się kierowałeś pisząc tę sztukę?

Najbardziej interesowało mnie do jakiego stopnia można być naiwnym. Gdyby Patrycja w „Grach miłosnych” nie była naiwna i niedoświadczona, potrafiłaby postawić wyraźne granice i nie pozwoliłaby na manipulację. Ale ona musiała się dopiero tego nauczyć. Mam nadzieję, że i dla widzów będzie to jakaś lekcja.



Julita Mroczkowska (Izabela) i Maciej Góraj (Fabian) podczas próby do sztuki Mariusza Kotowskiego „Gry miłosne”

W sztuce występują aktorzy z Chicago - Julita Mroczkowska i Maciej Góraj oraz Lukrecja Wilk i Marcin Kowalik.

Cieszę się, że do mojej sztuki udało się zaangażować świetnych aktorów. Maciej Góraj był bardzo znany w Polsce. To aktor filmowy, telewizyjny i teatralny, który w latach 70. uważany był za jednego z bardziej obiecujących aktorów młodego pokolenia. Występował w Warszawie w Teatrze Narodowym i Powszechnym, a w Łodzi w Teatrze Nowym. Ma bogatą filmografię. Julita Mroczkowska też jest aktorką zawodową, świetną interpretatorką piosenki aktorskiej. Niestety, ponieważ w Chicago długo nie było polskiego teatru, aktorzy ci głównie skupiali się na czytaniu wierszy, a nie graniu na scenie.

W tamtym roku, doceniając zasługi Julity Mroczkowskiej i Macieja Góraja, przyznałeś tej parze aktorów nagrody im. Poli Negri, ustanowione zresztą po raz pierwszy. To wspaniała idea.

Myszę, że przyznanie nagrody pomogło im stać się rozpoznawalnymi. Wiele osób mi

mówiło, że nie wiedziało, że w Chicago mieszkają tacy świetni aktorzy, zwrócili na nich uwagę właśnie dzięki temu wyróżnieniu. Ludzie często nie zdają sobie sprawy, kogo mają w swoim środowisku, jeśli ta osoba nie ma okazji, żeby się pokazać od strony zawodowej. Skoro w Chicago nie było reżysera, ani producenta, to aktorzy nie grali na takim poziomie, na jakim mogliby grać.

Przyjechałeś do Chicago z Austin w Teksasie w ubiegłym roku i założyłeś Polish American Actors Theatre. Zacząłeś od wystawienia sztuki Gabrieli Zapolskiej „Ich czworo”, za miesiąc będzie wystawiana twoja sztuka „Gry miłosne”. Czy Chicago to dobre miejsce, aby działał tu polski teatr?

Teatr powstał w styczniu 2019 roku. Chciałem pracować z aktorami, a w Chicago mieszka duża Polonia, miasto to nadaje się więc do realizowania takich planów. Bardzo długo byłem związany z postacią Poli Negri, napisałem o niej książkę, zrobiłem też parę filmów i przyszedł taki moment, że chciałem wyjść z myślenia pisarskiego oraz obracania się wokół tego samego tematu. Potrzebowałem pracy z ludźmi. Stąd decyzja o założeniu teatru.

Czy idea teatru spotkała się z aprobatą polskiego środowiska w Chicago?

Myślę, że tak, świadczy o tym chociażby sukces „Ich czworo” Gabrieli Zapolskiej. Ale w Chicago jest podobny problem, co w innych miastach, nie mamy swojej siedziby. Ważne jest, aby mieć stałe miejsce, w którym można by wystawiać polskie sztuki i do którego widzowie by się przyzwyczaili. Trudno jest więc budować publiczność w takich warunkach. Poza tym, jeśli za każdym razem wynajmowana jest inna sala, trzeba bardzo dużo wydać na reklamę, żeby ta informacja dotarła do ludzi. Tak więc w Chicago nie mamy problemu z aktorami, tylko z miejscem.

Ale jak widzę, mimo trudności, masz już plany na jesień. Polish American Actors Theatre pokaże kolejną twoją sztukę „Polski Żigolo”. Będzie to pierwsza sztuka osadzona w realiach chicagowskich.

Tak, rzeczywiście, będzie to sztuka w pełni chicagowska. Młody dziennikarz przyjechał z Polski i podejmuje różne prace. Pracuje w polskiej telewizji Polvision i w „Dzienniku”. Poznaje panią na Belmont Street, żeni się z nią dla papierów, potem poznaje inną kobietę, w której się zakochuje. Sytuacja się komplikuje. Kobieta ta w

pewnym momencie mówi "dosyć już łez na Belmontie". Ma siostrę na „Trójcowie”, czyli w rejonie, gdzie są trzy kościoły. Tak mówią Polacy. Niedaleko jest Chopin Theatre i „Podhalanka”. Pojawia się też restauracja „Słowik”. Czyli polska publiczność rozpozna chicagowskie realia. Puenty nie będę zdradzał. Planuję wystawić tę sztukę w małym, amerykańskim teatrzyku, gdzie będzie większa intymność i lepszy kontakt z widzem.

Mimo chicagowskich realiów „Polski Żigolo” ma również uniwersalne przesłanie. Taka historia mogłaby się wydarzyć w każdym emigracyjnym środowisku.

Myszę, że za jakiś czas, jeśli uda mi się znaleźć producenta, moje sztuki łatwo będzie zaadaptować na film, właśnie ze względu na ich uniwersalny przekaz. Mam przynajmniej taką nadzieję.

I tego ci życzę.

Skiz - joker, czyli karta atutowa w tarocie, popularnej grze karcianej.

POLISH AMERICAN ACTORS THEATER



GRY MIŁOSNE

Reżyser, Autor **MARIUSZ KRZYSZTOF KOTOWSKI**

Kierownik produkcji **KATARZYNA SOWACKI**

OBSADA:



BILETY:

www.copernicuscenter.org

oraz w biurach DOMA

Informacje

773.919.4180

www.polishamericanactorstheater.com

FB PolishAmericanActorsTheater



Copernicuscenter



DZIENNIK ZWIĄZKOWY

103.1 FM

PROX

FM

IDEA

FURNITURE

poiskieradio

prograi

**„Zaczarowany Świąteczny Kraków” -
spektakl polskiego teatru z Toronto.**



Spektakl „Zaczarowany Świąteczny Kraków”, scenografia Joanna Dąprowska, fot. Yarek Dąbroski, PUNKT.CA

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*)

Święta Bożego Narodzenia mają w Toronto niepowtarzalny klimat. Downtown, z królującą nad nim majestatyczną CN Tower, mieni się tysiącami bożonarodzeniowych gwiazdek, odbijających się od tafli jeziora Ontario. Nathan Phillips Square przed nowoczesnym, strzelającym w niebo budynkiem ratusza tętni życiem. Wokół ogromnej udekorowanej choinki zbierają się ludzie, zadzierają głowy, podziwiają. Obok basen z bijącymi latem fontannami zamieniony na lodowisko, po którym przy dźwiękach muzyki, w kolorowych obłokach reflektorów suną młodzi i starsi, zakochani trzymający się za ręce oraz pojedynczy łyżwiarze i łyżwiarki. Opatuleni szalikami, w kolorowych czapkach z pomponami, tańczą w tym urokliwym zimowym śnie. Lekko prószy śnieg, roztapiając się na różowych policzkach, osiada na drzewach, choinkach, latarniach, migocze na chodnikach. Przepiękne, stare

wiktoriańskie wille, których w Toronto jest bardzo dużo, przeżywają swoje święto. Bogato ozdobione lampkami i świątecznymi dekoracjami, wyłaniają się z gęstych ogrodów i cienia ulic. Wiele historycznych domów jest otwartych, można w nich podziwiać stylowe wnętrza w bożonarodzeniowej atmosferze, a także spróbować świątecznych wypieków. Nie tylko główna ulica Toronto, zaczynająca się od jeziora, a kończąca hen daleko na północy Kanady - Yonge Street, mieni się przepychem roziskrzonych, kolorowych wystaw. Całe miasto jest świąteczne, uroczyste. W kościołach i wielkich salach koncertowych - Massey Hall czy Roy Thomson Hall, grane jest oratorium „Mesjasz” Haendla. Tętnią sklepy, ulice, Christmas Market, organizowane są parady z Mikołajem, na które tłum zdziwionych, ufnych, dziecięcych oczu czeka z utęsknieniem. W polskiej dzielnicy przy Roncesvalles Avenue pachnie prawdziwkami, kapustą, rybami, ciastami i choinkami.

- *Jurek umiera* - usłyszałam w słuchawce głos Marii - *ja to czuję*.

Maria Nowotarska od jesieni przygotowywała spektakl „Zaczarowany, świąteczny Kraków”, z białą choinką oplatającą mgłą tajemnicy wieże Kościoła Mariackiego na plakacie[1]. Intensywne przygotowania trwały cały październik i listopad 2006 r. W tym czasie choroba nowotworowa Jerzego Pilitowskiego postępowała, pojawiały się przerzuty, tracił siły. Ciągłe pobyty w szpitalach i konsultacje lekarskie przeplatały się z próbami i wyjazdami, których nie można było odwołać, bo sale są wynajmowane z wielomiesięcznym wyprzedzeniem i ludzie w odległych miejscach czekają na polski teatr. Nie mogłam uwierzyć, że Jerzy Pilitowski odchodzi. Gdy dzwoniłam, był pogodny i z dużym przejęciem opowiadał o przygotowywanym, krakowskim przedstawieniu. Cały czas był czynny i pomagał w organizacji. Wprawdzie mówił z coraz większą trudnością, ale humoru mu nie brakowało. Tak jakby chorobę traktował jako zło konieczne, które gdzieś tam sobie jest i nie trzeba na nią zwracać uwagi, bo są rzeczy ważniejsze. Wydawało mi się więc, że wszystko będzie dobrze, że z tego wyjdzie. Godna podziwu była heroiczna postawa całej rodziny, wielogodzinne dyżury w szpitalach i intensywna praca, w klimacie nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia.

Maria Nowotarska:

Ten czas był dla nas wszystkich bardzo ciężki. Nie tylko próby odbywały się z wielką

trudnością, ale do tego dochodziły nasze zobowiązania i wyjazdy. Jechaliśmy z duszą na ramieniu, ciągle się bojąc, czy coś nie wydarzy i czy nie ma nas za długo poza domem.

Mimo, że spektakl[2], przygotowywany był w tak trudnych i bolesnych okolicznościach, stał się piękną malarską impresją, spacerem po mieście wspomnień, Krakowie w bożonarodzeniowej oprawie, dawnym i współczesnym, po miejscach bliskich Marii i Jerzemu, znajomej poezji, wywołującej drżenie w sercach, po kawiarniach młodopolskich i powojennych klubach, po tradycji i kulturze, tej wielkiej, narodowej i tej symbolicznej, ludowej, rodem z krakowskiego rynku. Powstało więc przedstawienie wyrosłe z niepowtarzalnego klimatu literacko-artystycznego miasta.



Spektakl „Zaczarowany Święteczny Kraków” (Maria Nowotarska)

Maria Nowotarska:

Decydując się na wybór tematu zawsze zastanawiam się, czego tu w Kanadzie nasze społeczeństwo oczekuje. Karmienie publiczności polskiego pochodzenia sprawami, które są przedmiotem tęsknoty, już może nie tej bolesnej, z czasów, gdy nie można było wrócić do Polski, ale tej sentymentalnej, związanej z krajem lat dzieciństwa, jest według mnie ogromnie potrzebne. Dlatego wybieram tematy, które tak głęboko są zrośnięte z polską tradycją literacką, poetycką, obyczajową i tym jednym z ważniejszych wyznaczników naszego życia - miejscem, z którego pochodzimy.

Temat świąt od dawna chodził Marii po głowie. Kiedyś przed laty w Hart House

zorganizowała wieczór kolęd. Potem, w połowie lat 90. Jerzy Kopczewski w ramach Sceny Format zrealizował „Betlejem Polskie” Lucjana Rydla, w którym brała udział prawie cała rodzina Pilitowskich. Boże Narodzenie wciąż jednak powracało jak bumerang. – *Babciu* – powiedział kiedyś Tomek – *ty koniecznie powinnaś zrobić spektakl świąteczny*. Maria Nowotarska zastanawiała się dość długo, jakby do takiego tematu podejść. Poezja i muzyka bożonarodzeniowa już była, to zresztą temat bardziej na wieczór poetycki, niż spektakl. Pomyślała więc o tym, aby święta umiejscowić w Krakowie. Zaczęła penetrować zakamarki poezji i szukać inspiracji, tekstów, obrazów. Wyobrażała sobie na scenie mozaikę poetycko-malarską w świątecznej oprawie.

Maria Nowotarska:

Kiedy konstruuje scenariusz, bez przerwy jestem myślami w danym temacie. Najpierw błędzę, szukam, ale cały czas myślę, gdy coś robię, idę na spacer czy po zakupy. Potem coś się zaczyna pojawiać, ale ja jeszcze tego nie umiem uporządkować. Dopiero z czasem wszystkie te porzucane pomysły zaczynają się łączyć w całość.

Gdy zaczyna się spektakl, podnosi kurtyna i gra hejnał mariacki, oczom widzów ukazuje się wieża Kościoła Mariackiego, opleciona białym tiulem, jak welonem panny młodej. Wszystko razem wygląda jak zjawiskowa biała choinka. Wieża na początku jest ledwie widoczna, gdzieś migocze w oddali, potem stopniowo wyłania się z tła, tworząc pięknie skomponowany obraz.

Maria Nowotarska:

To był pomysł Jurka. Zielona choinka jest oczywistością, a biała, stanowiła o pewnej magii miejsca, które chcieliśmy wyczarować.

Polsko-Kanadyjskie Towarzystwo Muzyczne • SALON POEZJI, MUZYKI I TEATRU pod honorowym patronatem Konsula RP w Toronto, dr Piotra Konowrockiego
zaprasza na barwne widowisko teatralno-muzyczne

ZACZAROWANA, ŚWĄTECZNA KRAKÓW

Scenariusz i reżyseria:

Maria Nowotarska

Scenografia:

Joanna Dąbrowska

Opracowanie muzyczne:

Jerzy Boski

Produkcja:

Jerzy Pilitowski

Udział biorą:

Irmína Gauza, Karolina Ingleton,
Kinga Mitrowska, Maria Nowotarska,
Agata Pilitowska, Sławek Iwasiuk,
Maciek Lis, Andrzej Pasadyń,
Andrzej Stabiak, Piotr Pilitowski (gościnnie)
i Zespół Biały Orzeł pod kierunkiem Tadeusza Zdybala

Informacja i rezerwacja:

416-760-9745, 905-891-1747

Bilety: Husarz 905-277-5171 • Pegaz 905-238-8984

Piast (Starsky) 905-278-2600 • Polimex 416-537-3486

Piątek, 1 grudnia 2006, g. 19:30 • Sobota, 2 grudnia 2006, g. 19:30 • Niedziela, 3 grudnia 2006, g. 16:00

BURNHAMTHORPE LIBRARY THEATRE • Mississauga • 1350 Burnhamthorpe Road East

Główni Sponsorzy: SENAT RP • STOWARZYSZENIE WSPÓLNOTA POLSKA • PLL LOT • FUNDACJA A. MICKIEWICZA • CREDIT UNION • DR AGATA CYBULA
STELLA TYLKOWSKA • MAX MONETA • DR RICHARDA RUSS • MACIEK, AGNIESZKA I KASIA CZAPLINSKY • DR KRZYSZTOF CONRAD • BROWAR ŻYWIĘC

Biała choinka w spektaklu „Zaczarowany Świąteczny Kraków”, projekt plakatu Joanna Dąbrowska.

Gra świateł podkreśla tajemniczość obrazu, gdy nagle wirująca we mgle choinka przemienia się w obraz zakola Wisły, namalowanego przez Wyspiańskiego, z wieżą i dzwonem Zygmunta nad Katedrą. Na ten malarski widok nakłada się muzyka polskiego krakowiaka. Widzowie znajdują się w sercu krakowskiego folkloru. Do współpracy został zaproszony zespół „Biały Orzeł” pod kierownictwem Tadeusza Zdybały, który ma w swoim repertuarze różne tańce polskie, w tym i krakowiaka. Taniec w pięknych, barwnych strojach, staje się nagle krakowskim weselem. W ten roztańczony świat wchodzi Rachela z „Wesela” Wyspiańskiego (Agata Pilitowska), aby rozmawiać z Poetą (Piotr Pilitowski) o poszukiwaniu poezji.

Rachela

ach, ta chata rozśpiewana,

ta roztańczona gromada,

zobaczy pan, proszę pana,

że się do poezji nada,

jak pan trochę zmieni, doda.

Maria Nowotarska:

Ta rozmowa była dla mnie istotna i symboliczna. To analogia do naszego teatru, gdzie poezja jest głównym jego wyznacznikiem. Wyspiański otwiera nam drogę.

Rachela znika, a wchodzi Panna Młoda (Marta Klich).

(...)

Poeta

- - - *A tam puka?*

Panna Młoda

I cóż za tako nauka?

Serce - ! - ?

Poeta

A to Polska właśnie.

Maria Nowotarska:

Chciałam tę scenę podkreślić, tym bardziej, że na widowni była młodzież polskiego pochodzenia. Niech uświadomią sobie, że Polska jest w nas, nawet gdy jesteśmy daleko od ziemi swoich przodków. Bardzo prosto, skromnie i przejmująco zagrała tu Marta Klich.

Pojawiają się obrazy w postaci przezroczy rzuconych na gładką powierzchnię tła, wypełniając malarstwem Wyspiańskiego przestrzeń teatralną, niczym w dawnych teatrach, z ogromnymi malowanymi płótnami jako prospektami. Akcję prowadzą pojawiające się na scenie postaci, podglądające miasto i poznające jego tajemnice ukryte w poezji, anegdocie i malarstwie.

Maria Nowotarska:

Bardzo lubię „Wyzwolenie” Wyspiańskiego. Poeta zawarł tam m.in. ostrzeżenie dla Polaków, przed ich słomianym zapałem i uleganiu pozorom. Myślę, że my z tą mentalnością ciągle mamy kłopoty, bez względu na okres, w którym żyjemy.

Maria Nowotarska stworzyła scenkę rodzajową, uzasadniając tym samym tekst Wyspiańskiego. W parku naprzeciwko Wawelu pojawia się starsza, elegancka kobieta, przedstawicielka tradycji, stylowo ubrana, z książką w ręku, wraz z małym chłopcem, może wnuczkiem, który patyczkiem toczy kółko. Kobieta pokazuje mu Kraków, uczy go dostrzegania szczegółów i zauważania piękna miasta. "U stóp Wawelu miał ojciec pracownię" opowiada tekstem Wyspiańskiego. Dziecko nie jest tym zainteresowane, woli się bawić. Kobieta siada więc na ławce i czyta. Natrafia na fragment o dzwonie Zygmunta:

*O Zygmuncie! słyszałem ciebie
i natychmiast poznam, gdy usłyszę.
Niech ino się twój głos zakolebie
i przenikliwy wżre się w ciszę,*

A potem:

*Tam-tam nazywa się narzędzie
w orkiestrze, które dzwon udaje.
Jak mówią teatralne zwyczaje,
używa się mniej więcej wszędzie,
gdzie się do sztuki dzwon dodaje".*

Maria Nowotarska:

Zaczynam tekst czytać, a potem przejmuję siłę wypowiedzi na siebie. Jeżeli społeczeństwo tylko krzyczy, a nic nie robi, to nie powinien bić dzwon Zygmunta, tylko tam-tam, bo rekwizyt Polakom wystarczy. Odnosi się to też do czasów współczesnych, ciągłych kłótni i braku jedności. Oczywiście, czasem są to dalekie

moje skojarzenia, ale mnie takie tropy pociągają. Chciałam wprowadzić Polskę historyczną, ale z problemami ciągle aktualnymi.

W młodopolską epokę wpisują się piosenki „Malarz maluje” i „Moja Peleryna” w wykonaniu Andrzeja Słabiaka. Potem pejzaż się zmienia, pojawiają się krakowskie Planty ze słynnego obrazu Stanisława Wyspiańskiego, z aleją nagich drzew prowadzącą od Pałacu Biskupiego po Wawel, w ciepłych kolorach poranka[3]. W tej późno jesiennej przestrzeni zjawiają się nowi bohaterowie, śpiewając „bo tylko w Krakowie, tam gdzie dawniej królowie...[4]”. Są szczęśliwi, zakochani, radośni. Opowiadają o Krakowie tekstami Jana Sztaudyngera. To przeskok w czasie, ale nawiązujący do poprzednich scen. Potem obraz się zmienia na spowity bielą i niebieskościami zimy widok na Kopiec Kościuszki[5], jako zapowiedź nadchodzących świąt.

Maria Nowotarska:

Dla mnie Kraków i Wyspiański to jedno. Bardzo cenię tego twórcę i chciałam zarazić nim młodych ludzi, a także uświadomić publiczności, jaki był to wszechstronny artysta. Żaden inny krakowski twórca tak pięknie łączył głębokie myśli, z pięknym językiem i wspaniałym obrazem.



Spektakl „Zaczarowany Świąteczny Kraków”

Wszyscy uczestnicy spaceru po Krakowie zaczynają wchodzić w zaczarowany krąg Bożego Narodzenia. *Już dzisiaj, który to raz / pędzi poczta przez las!*[6]- wbiegają na scenę czterej chłopcy przebrani za bajkowych, wymyślonych, małych listonoszy. Mają czarne czapki, fraczki, spodnie-pumpki, skarpetki i wielkie torby na listy. Muszą przecież dostarczyć wiele przesyłek, gdyż: *Jacek, co pióra nie bierze w ręce, / nagle napisał listów dziewięćset. / Pisze Alojzy, Funia i Mania. / Rośnie gwiazdkowa życzeniomania.* Ci chłopcy są entuzjastyczni, cieszą się z tego co robią i jako mali aktorzy i jako młodzi pocztowcy. Zdobyli wielkie brawa publiczności. (...) *na bok, zające! z drogi, wrony!/-* wołają, biegając po scenie - *Feluś, gazu! List polecony! (...)* *Poczta! Poczta! Morze i ląd! / WSZYSTKIM WESOŁYCH ŚWIĄT!* Chłopcy oddają dorosłym aktorom swoje czapki i torby, wysyłają ich na widownię z listami, a sami biorą w ręce szopkę i śpiewają „Przybieżeli do Betlejem...”, jako mali kolędnicy.

Pojawia się romantyczna, krakowska, zakochana para, mówiący o swoich uczuciach słowami Gałczyńskiego „On” i śpiewająca o nich „Ona” (Irmina Gauza i Piotr Pilitowski). Z kolejnych kolęd i pastorałek rodzi się już całkowicie świąteczny nastrój. Pierwszy akt kończy kolęda „Bóg się rodzi”. Aktorzy stoją po dwóch stronach sceny, a w środku orszak tancerzy, w strojach szlacheckich tańczy poloneza.



Spektakl „Zaczarowany Świąteczny Kraków”

Drugi akt zaczyna się szopką krakowską. Dwie drabiny ustawione przodem do siebie, na nich chłopcy, dookoła dziewczyny, wszyscy w barwnych, krakowskich strojach, z czapkami z pawimi piórami. W tle widać wierzchołek wieży mariackiej – białej choinki. W środku, jako dobry anioł stoi cała w bieli Kinga Mitrowska, a u jej stóp siedzi Panna Młoda z „Wesela”, jako krakowska Matka Boska z dzieciątkiem. Anioł w

bajecznym światłem przejmująco śpiewa sopranem „Lulajże Jezuniu”, na podkładzie muzycznym w aranżacji Jerzego Boskiego, opartym o muzykę Chopina. Światło gaśnie, krakowiacy się rozpraszają, na scenie zostaje sama Panna Młoda i w delikatnym światłem śpiewa refren kolędy „a cappella”, prosto, jak wiejska dziewczyna, tuląc do siebie dzieciątko. Głos brzmi donośnie, ale bardzo naturalnie. Nic dziwnego, że ta malarska, zainscenizowana szopka dostała wielkie brawa.

Potem znów widzowie przenoszą się na ulice Krakowa, odwiedzając różne ciekawe miejsca. Poszczególne sceny są jakby kadrami z filmu układającymi się w jedną kompozycję. Wywołują różne nastroje, od żartobliwych, przez sentymentalne, po przejmujące. Maria Nowotarska wierszem Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego „Przed zapaleniem choinki” opowiada o zaułkach Krakowa w wigilijny wieczór, o pijanym dorożkarzu, latarniach przy drodze, śniegu sypiącym z nieba i tym miejscu, jedynym na świecie, które będzie zawsze w naszej pamięci – miejscu urodzenia.

Można też podejrzeć słynną krakowską kawiarnię „Pod Gruszką”, gdzie schodzili się dziennikarze i literaci. Rozmawiają, bo zawsze w dni świąteczne tam się spotykają. Opowiadają anegdoty słowami M. Załuckiego. Jeden śpiewa piosenkę S. Krajewskiego „Mija rok”. Dają sobie prezenty.

Na krakowskim rynku pojawiają się turystki z Kanady. Są oczarowane miastem. Ulegają atmosferze świąt i zaczynają śpiewać piosenki ze swojego kontynentu. Miasto jest otwarte na świat i brzmi różnymi językami. Jest to pretekst do przedstawienia piosenek typowych dla okresu Christmas w Ameryce, takich „The Magic of Christmas Day” czy „White Christmas”.



Spektakl „Zaczarowany Świąteczny Kraków” (Karolina Ingleton)

A jak się jest już w Rynku, to koniecznie trzeba wstąpić do Piwnicy pod Baranami, która pulsuje swoim rytmem. W świat Piwnicy wprowadza cytaty z piosenki śpiewanej przez Ewę Demarczyk. Są aluzje do Piotra Skrzyneckiego, Maria Nowotarska mówi „Ta nasza młodość”, jakby wracając myślą do początków Piwnicy, którą współtworzyli przecież razem z mężem Jurkiem. Andrzej Słabiak śpiewa „Na moście w Avinion”, a kobiety tańczą jak na linie, zataczając się od szaleństwa. Taki to już urok magicznej Piwnicy. Irmina Gauza śpiewa „Nie żałuje” słowami Agnieszki Osieckiej, dzieci wzruszająco mówią wiersz „Na Wigilię” T. Kubiaka, a potem, znów jako cytaty pojawia się głos zmarłego Marka Grechuty: *Ważne są tylko te dni których jeszcze nie znamy./ Ważnych jest kilka tych chwil, tych na które czekamy...* – przejmująco brzmią te słowa. Artyści nagle zamierają w bezruchu. Gasną światła, nie ma już Piwnicy, pojawia się Agata Pilitowska, przy pustym wigilijnym stole,

przykrytym białym obrusem i śpiewa: (...) *I choć przygasł Świąteczny gwar, /Bo zabrakło znów czyjegoś głosu. /Przyjdź tu do nas i z nami trwaj, /Wbrew tak zwanej ironii losu*[7].

Maria Nowotarska:

„Kolęda dla nieobecnych” Zbigniewa Preisnera była bolesną zapowiedzią odejścia Jurka. Mieliśmy pełną tego świadomość.



Spektakl „Zaczarowany Świąteczny Kraków”

Po tym refleksyjnym momencie przyszedł optymistyczny finał. *Choć tyle żalu w nas, i gniew uśpiony trwa, przekażmy sobie znak pokoju, przekażmy sobie znak* – Piosenkę „Podajmy sobie dłonie” śpiewali wszyscy artyści, a potem powtarzała publiczność, wiele, wiele razy.

Maria Nowotarska:

Nie umiem śpiewać, śpiewam tylko wtedy jak wszyscy śpiewają, ale ta piosenka dała nam wielką siłę. Przekazywaliśmy sobie i widzom znak przyjaźni, życzenia świąteczne, wigilijne, bez względu na wszystko, co w nas i wokół nas. A w tle nasza biała choinka, odpowiednio oświetlona, mieniła się najcudowniejszymi kolorami.

Tak się zakończyła ta malarska impresja, czyli opowieść o świątecznym Krakowie, dedykowana odchodzącemu Jurkowi Pilitowskiemu, przywiezionego na drugą część przedstawienia. Był świadkiem wręczania po spektaklu przez Konsula Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w Toronto dr Piotra Konowrockiego, medali Zasłużony Kulturze *Gloria Artis* – srebrnego dla Marii Nowotarskiej i brązowego dla Agaty Pilitowskiej. – *Jurek, ja się bardzo cieszę, że jesteś i że zawsze walczysz całym sercem* – powiedziała Maria Nowotarska ze sceny, odbierając medal. – *Bo to jest nasza, wspólna sprawa.* Tego dnia Jerzy Pilitowski był też świadkiem sukcesu i spotkania na scenie prawie całej rodziny. Sam jeszcze zajmował się organizacją. Oprócz Marii i Agaty, wystąpił tu syn Piotr, mieszkający na stałe w Krakowie i wnuk, Maciek, który miał powierzoną samodzielną rolę. Drugi wnuk, Tomek pomagał w sprawach technicznych, obsługiwał przeźrocza i muzykę. Tylko wnuczka Matylda przebywała wtedy w Europie, ale była w stałym kontakcie z rodziną. Ten wzruszający moment wspomina Jarosław Abramow-Newerly:

(...) (Jerzy Pilitowski) zawsze kochał teatr, ale w Toronto stał się on dla Niego prawdziwą pasją. I kiedy złożony ciężką chorobą, mimo straszliwych bólów, 3 grudnia przyjechał na drugą część przedstawienia „Zaczarowany, świąteczny Kraków” (...) – była to ostatnia chwila największego wzruszenia.

Na scenie odczytano list gratulacyjny marszałka Senatu RP z okazji 15-lecia Salonu. A kiedy konsul generalny RP, dr Piotr Konowrocki wręczył w imieniu ministra kultury i sztuki najwyższe odznaczenie Gloria Artis Marii Nowotarskiej i Agacie Pilitowskiej – a ze sceny wskazano na Jerzego Pilitowskiego, twórcę tego rodzinnego sukcesu, wszyscy zgotowaliśmy Mu owację. Stał uśmiechnięty na końcu sali wznosząc wysoko palce w górę. Potem stojąc wyprostowany i błądy w garderobie powiedział: „Musiałem tu przyjść! Żeby nie wiem co!”. Było to zwycięstwo większe niż na powstańczej barykadzie. Prawdziwie heroiczne.

Podziwiałem Go[8].

Gdy zadzwoniłam po spektaklu, odebrał telefon. Zapytałam się, jak poszło. – *Maryśka odniosła wielki sukces* – odpowiedział żarliwie – *wielki* – powtórzył. – *Standing ovation. Na trzecim przedstawieniu ludzie stali, bo zabrakło miejsc.* Był bardzo przejęty i radosny. Wyraźnie żył teatrem i się nim cieszył. Cieszył się wspólną pracą ze swoją Maryską. To było więc wyjątkowe pożegnanie.

[1] Projekt plakatu: Joanna Dąbrowska

[2] *Zaczarowany, świąteczny Kraków*, scenariusz i reżyseria: Maria Nowotarska, scenografia: Joanna Dąbrowska, opracowanie muzyczne: Jerzy Boski, produkcja: Jerzy Pilitowski, wykonawcy: Irmina Gauza, Karolina Ingleton, Kinga Mitrowska, Maria Nowotarska, Agata Pilitowska, Sławek Iwasiuk, Maciek Lis, Andrzej Pasadyn, Andrzej Słabiak, Piotr Pilitowski (gościnnie), Grupa Studia Aktorskiego Salonu Junior: Mateusz Bobel, Marek Ruta, Mateusz Ruta, Aleksander Cieślak oraz zespół „Biały Orzeł” pod kierownictwem Tadeusza Zdybała, światło i dźwięk: Krzysztof Sajdak, współpraca: Tomek Lis, Andrzej Stefan. Premiera: 1 grudnia 2006, Burnhamthorpe Library Theatre, Mississauga.

[3] St. Wyspiański, *Planty o świcie*, 1894, olej na płótnie, własność prywatna.

[4] *Dopiero w Krakowie*, muz. H. Krakowiak, sł. L.J. Kern

[5] St. Wyspiański, *Widok z okna pracowni na Kopiec Kościuszki, w zimowy, pogodny dzień*, 1905, pastel, Muzeum Narodowe, Kraków.

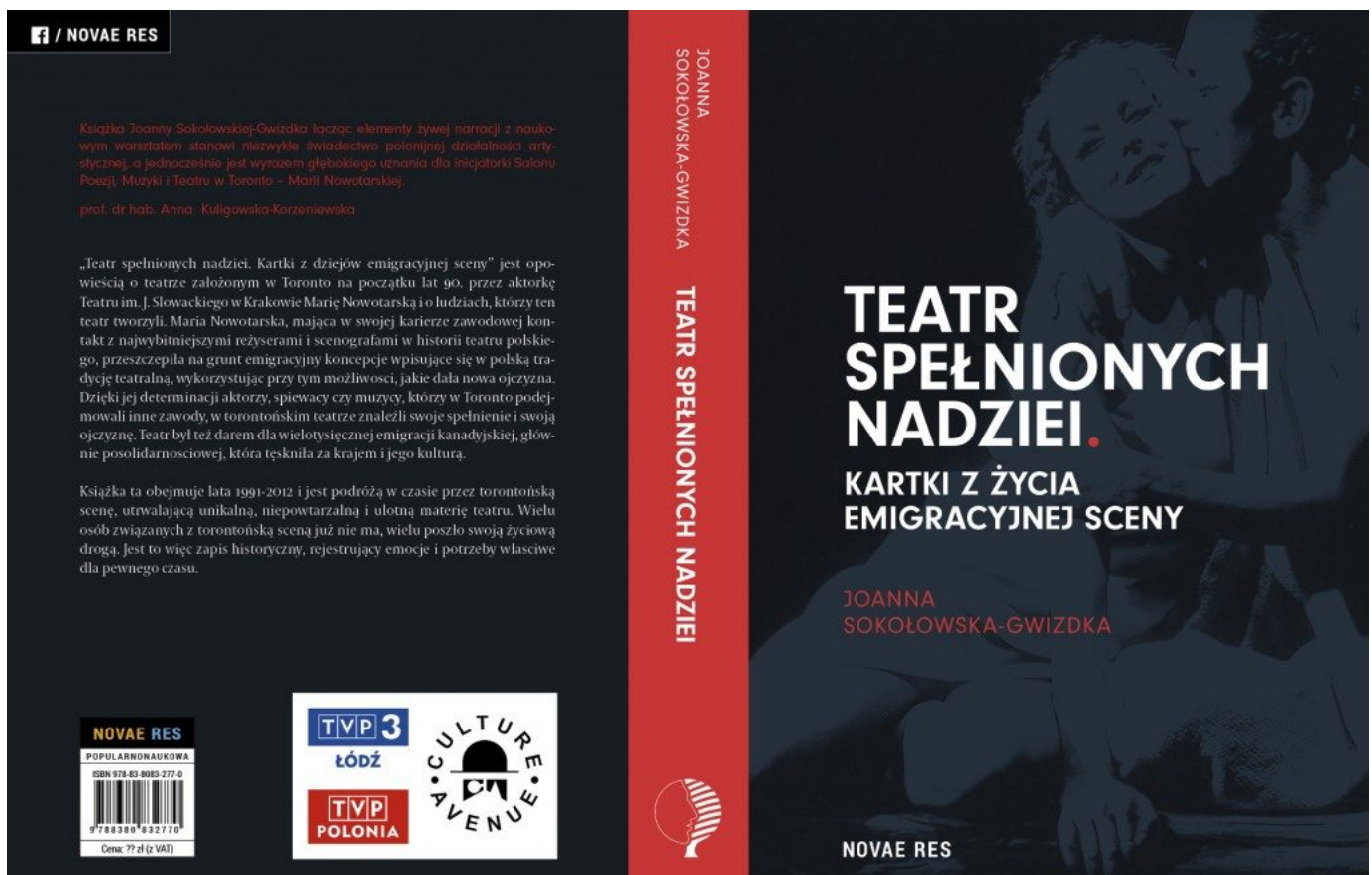
[6] K.I. Gałczyński, *Trąbki świątecznej poczty*.

[7] *Puste miejsce przy stole. Kolęda dla nieobecnych*, muz. Zbigniew Preisner, sł. Szymon Mucha.

[8] Jarosław Abramow-Newerly, *Musiałem tu przyjść, żeby nie wiem co...* Wspominając Jerzym Pilitowskiego, „Związkowiec”, Toronto, styczeń 2007, cyt. za „Dziennik Polski”, Kraków, 11 kwietnia 2007.

Fragment książki Joanny Sokołowskiej-Gwizdka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” (wyd. Novae Res, 2016). Jest to opowieść o teatrze w Toronto założonym przez aktorkę Teatru im. J. Słowackiego z Krakowa, Marię Nowotarską i jej męża Jerzego Pilitowskiego. Inne fragmenty i recenzje są dostępne na „Culture Avenue”. Np. jak powstawała książka:

<https://www.cultureave.com/teatr-speelnionych-nadziei-opowiesc-o-polskim-teatrze-w-toronto/>



Książkę można kupić przez Amazon:

https://www.amazon.com/Teatr-speelnionych-nadziei-Kartki-emigracyjnej/dp/8380832779/ref=sr_1_1?s=books&ie=UTF8&qid=1512162735&sr=1-1&keywords=Teatr+spe%26nionych+nadziei

i w każdej księgarni w Polsce po poprzednim zamówieniu.

„Lady” - multimedialny spektakl z szekspirowskimi archetypami w tle

Monodram na podstawie „Makbeta” Williama Szekspira

Scenariusz: Hanna Bondarewska i Andrzej Żurowski

Koncept Artystyczny, Reżyseria i Wykonanie: Hanna Bondarewska

Muzyka: Jerzy Satanowski

Kostiumy: Agata Uchman

Multimedia: Justyna Alicja Bielecka

**Prapremiera 4 października 2019 r. w Instytucie Teatralnym im. Zbigniewa
Raszewskiego w Warszawie. W planach podróż po Ameryce, śladami Heleny
Modrzejewskiej.**



„Lady” – interaktywny, multimedialny spektakl-monodram, zainspirowany postacią szekspirowskiej Lady Makbet – jest próbą odpowiedzi na wiele nurtujących nas, kluczowych pytań. Kim jest współczesna kobieta i jakie są cele oraz motywy jej działania? W jakim stopniu naszym zachowaniem sterują stereotypy płci, a w jakim pierwotne instynkty i osobowość? Czy szekspirowskie archetypy wpływają na nasze myślenie i działanie? Jaka jest cena naszych wyborów? W jaki sposób możemy uchronić się przed okrucieństwem i chaosem otaczającego nas świata?

Hanna Bondarewska z Waszyngtonu – twórczyni spektaklu, nie tylko uwspółcześnia przesłanki klasycznego dramatu, przedstawiając studium władzy, namiętności i zemsty, ale wprowadza widza w świat ekstremalnych archetypów kobiecych, od ochronnego do krwiożerczego. Pierwsze wcielenie aktorki, Hekate, jako Wiedźma – zapomniany archetyp Wielkiej Matki – zaprasza nas do aktywnego udziału w magicznym rytuale, przy dźwiękach bębna, mis tybetańskich, grzechotek i wspaniałej muzyki Jerzego Satanowskiego. Czy uda jej się dodać nam wewnętrznej mocy i wiary w to, że możemy zmienić świat? Czy wyczaruje inny bieg historii? Czy doda nam nadziei?

Ambassador Theater Presents



LADY

based on "Macbeth" by W. Shakespeare

concept
direction
acting
**Hanna
Bondarewska**
music
**Jerzy
Satanowski**
costumes
**Agata
Uchman**
multimedia
**Justyna
Bielecka**



REALIZATORZY:

Hanna Bondarewska jest polsko-amerykańską aktorką, reżyserem oraz założycielką, jak również dyrektorem artystycznym Ambassador Theater w Waszyngtonie. Wyreżyserowała i wyprodukowała wiele spektakli reprezentujących kultury różnych krajów, między innymi Polski, Bułgarii, Francji, Belgii, Indii, Czech i Włoch oraz wiele programów edukacyjnych przybliżających młodzieży waszyngtońskiej kultury świata. Uzyskała tytuł MFA (Master of Fine Arts) in Classical Acting w George Washington University w Waszyngtonie, USA. W 2016 roku we Włoszech uczestniczyła w warsztatach artystycznych z noblistą Dario Fo oraz studiowała w Royal Academy of Dramatic Arts w Londynie, gdzie ukończyła intensywny kurs szekspirowski. Posiada wiele nagród, między innymi prestiżową nagrodę Helen Hayes za osiągnięcia artystyczne, DC Theatre Scene za najlepszego

reżysera oraz nagrodę aktorską Julia Heflin Performing Arts Award oraz wiele innych. Ma na swoim koncie wiele wspaniałych ról w języku angielskim jak i w polskim, które zagrała na amerykańskich scenach. Między innymi takie role jak: Lychorida w "Perykles" i Ligarius w "Julius Caesar" W. Shakespeare'a, Antonia w "They Don't Pay? We Won's Pay!" Dario Fo, Negma Sadiq w "Visitor" Alfreda Faraga, George Sand w „Summer at Nohant” ("Lato w Nohant") Jarosława Iwaszkiewicza oraz wiele innych.









Wyreżyserowała i wyprodukowała wiele przedstawień w Waszyngtonie oraz na Florydzie, między innymi "Tango" i "Out at Sea" ("Na pełnym morzu") Mrożka, "The Madman and the Nun" ("Wariat i Zakonnica") Witkacego, "The Peephole" Alfreda Faraga, "The Trap" ("Pułapka") Tadeusza Różewicza oraz wiele innych, które spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem widowni oraz krytyki. Celem jej działań artystycznych jest kontynuacja poszukiwań archetypów w dramacie szekspirowskim poprzez doświadczenia naszych czasów oraz poszukiwanie nowych form w teatrze współczesnym poprzez współpracę artystyczną i wymianę doświadczeń z wybitnymi artystami naszych czasów. Zainspirowana postacią Heleny Modrzejewskiej, pragnie odnaleźć archetyp Lady Macbeth w naszych czasach poprzez owocną współpracę artystyczną pomiędzy doświadczeniami kultur -polskiej i amerykańskiej w odkrywaniu Szekspira na nowo.





Jerzy Satanowski, kompozytor i reżyser – jest absolwentem filologii polskiej Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu (1972). Debiutował w latach 60. w Lesznie, w grupie rockowej „Następcy” (śpiew i gitara, kompozycje). Na początku lat 70. stworzył z Edwardem Stachurą szereg utworów, które stały się przedmiotem swoistego kultu młodego pokolenia. Kompozytor muzyki filmowej i teatralnej – jego dorobek to ok. 300 realizacji scenicznych w kraju i za granicą, laureat wielu festiwali teatralnych (Belgrad, Nancy, Edynburg, Opole, Kalisz – Kaliskie Spotkania Teatralne, Wrocław i in.). Jest kompozytorem piosenek aktorskich, głównie do tekstów Edwarda Stachury, Agnieszki Osieckiej, Jonasza Kofty i Jana Wołka, śpiewanych m.in. przez Krystynę Jandę, Piotra Fronczewskiego, Hannę Banaszak, Ewę Błaszczuk, Piotra Machalicę. Część z nich również sam wykonuje. Skomponował muzykę do wielu filmów, m.in. „Baryton” (reż. J. Zaorski, 1984), „Dom wariatów” (reż. M. Koterski,

1984), „Kobieta w kapeluszu” (reż. St. Różewicz, 1984), „Jezioro Bodeńskie” (reż. J. Zaorski, 1985), „Siekierzada” (reż. W. Leszczyński, 1985), „Magnat” (reż. F. Bajon, 1986), „Schodami w górę, schodami w dół” (reż. A. Domalik, 1988), „Wszystko, co najważniejsze” (reż. R. Gliński, 1992), „Wrzecziono czasu” (reż. A. Kondratiuk, 1995), „Dzień świra” (reż. M. Koterski, 2002), serial „Boża Podszewka” (reż. Izabella Cywińska). Jest wieloletnim jurorem w konkursie Ogólnopolskich Spotkań Zamkowych „Śpiewajmy Poezję” w Olsztynie, współtworzy i realizuje główne koncerty Spotkań Zamkowych. W swoim dorobku posiada wiele nagród i odznaczeń, w tym Złoty i Srebrny Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” w dziedzinie muzyki.



Agata Uchman, kostiumograf. Absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, gdzie ukończyła Wydział Scenografii i Malarstwa. Działa na zderzeniu sztuki i designu. Współpracuje z operami i teatrami muzycznymi projektując na potrzeby baletu, opery, musicalu i teatru. Jest autorką kostiumów i scenografii do wielu artystycznych projektów filmowych w Polsce i za granicą, m.in. „The Big Leap” (scenografia i kostiumy), horroru „Urban Explorer” (dekoracja wnętrza), „Die Alte Frau” (dyrektor artystyczny), „Village of Unborn Children” (kostiumy), „One of Us”

(scenografia i kostiumy), „Kop głębiej” (kostiumy), „Ciemnego pokoju nie trzeba się bać” (kostiumy i dekoracja wnętrz), „Dotknięcie anioła” (kostiumy).

W latach 2013-2016 tworzyła autorską markę NUMERuchman/winiarska łączącą design i modę. NUMER zaproszony został na Berlin Fashion Week. Prace kostiumograficzne artystki znalazły się na międzynarodowej wystawie „Costume at the turn of century 1990-2015” pokazanej w Muzeum Teatralnym im. A.A. Bachruszyna w Moskwie. Wystawa prezentowana była także w USA i Chinach. Artystka należy do Stowarzyszenia Filmowców Polskich oraz OISTAT (międzynarodowej organizacji scenografów). W roku 2018 zdobyła grant z Kościuszko Foundation na trzymiesięczny pobyt badawczy na GWU (George Washington University-Theater and Dance Department). W 2018 r. kostiumografka została uhonorowana nagrodą J. Kiepury za najlepsze kostiumy w sezonie artystycznym (2017/2018).





Justyna Alicja Bielecka (multimedia). Urodzona w 1990 roku w Warszawie. Artystka Multimedialna i Projektant Graficzny. Obecnie związana z Teatrem Wielkim - Operą Narodową gdzie pracuje jako realizator Video przy czołowych tytułach oraz współtworzy Immer Studio - niezależne studio multimedialne skupione na projektach zacierających granice między sztuką a technologią. Szczególnie zainteresowana Video Designem do instalacji artystycznych i wydarzeń scenicznych, gdzie różne dziedziny sztuki i zmysły spotykają się w jednym miejscu i czasie. Motywowana ideą immersji - całkowitego zanurzenia odbiorcy w cyfrowej rzeczywistości, będącej impulsem do generowania indywidualnych doświadczeń. Absolwentka Pracowni Multimedialnej Kreacji Artystycznej na Wydziale Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie oraz Międzyuczelnianej Specjalności Multimedialnej przy wydziale Reżyserii Dźwięku na Uniwersytecie Muzycznym im. Fryderyka Chopina w

Warszawie.

Na fotografiach Hanna Bondarewska w spektaklu „Lady”, podczas prapremiery 4 października 2019 r. w Instytucie Teatralnym w Warszawie.

TRAILER:

<https://youtu.be/9T1OEcNHjFA>

Sławomir Mrożek. Rozmowa przy kawie o flircie, teatrze i wolności.



Sławomir Mrożek, fot. materiały prasowe.

Anna Maria Mickiewicz (Londyn)

Co myślał o swej twórczości i bohaterach sam Mistrz? Oto krótka rozmowa, którą przeprowadziłam tuż po premierze *Letniego dnia* w jednym z londyńskich teatrów. Powinnam dodać, że Sławomir Mrożek niechętnie

udzielał wywiadów. Jeżeli do nich dochodziło, stawał się powściągliwy i milczący... Dlatego na spotkanie z dramaturgiem podążałam z dużym zaciekawieniem i niepewnością zarazem... Było to swoiste wyzwanie.

Dzień był wyjątkowo ciepły, słoneczny i wiosenny. Umówiona byłam w godzinach przedpołudniowych w znanej londyńskiej dzielnicy Belgravia, przy Sloane Square. Tuż przy głównym skwerze, wśród licznych kafejek, widniał zabytkowy gmach słynnego teatru The Royal Court Theatre. Po latach został unowocześniony; już z oddali odbijała się w promieniach słońca czerwona płaskorzeźba, znajdująca się na pierwszym piętrze teatru - *notabene* wykonana przez polskiego artystę Antoniego Malinowskiego.

Sławomir Mrożek czekał na mnie w teatralnej kawiarni, usytuowanej w podziemiach. Panowała cisza, twórca był jakby osnuty półmrokiem... To chwile, kiedy teatry drzemią, wypoczywają po wieczornych wydarzeniach. Dramaturg ze spokojem popijał kawę. W takim nastroju, swoistej przychylności, przebiegała nasza rozmowa...

Anna Maria Mickiewicz:

Czy czuje się Pan czasami jak jeden z bohaterów *Letniego dnia*?

Sławomir Mrożek:

Nie, nigdy, dlatego że pisanie sztuki czy wierszy, powieści to nie jest nigdy autobiografia. Składa się może z elementów autobiograficznych, ale nie jest tak, by pisarz w powieści, czy w swych dziełach opisywał siebie.

Czy *Letni dzień* nie zawiera żadnych wątków autobiograficznych? A jest to sztuka, która w dużym stopniu poświęcona jest anatomii dojrzewania mężczyzny...

No, może częściowo jest..., ale w taki rozproszony sposób i nie ma potrzeby tego udowadniać.

Natomiast bohaterka dramatu to osoba bardzo inteligentna, przewrotna, bystra. Czy tak Pan widzi kobiety?

Należy pamiętać, że żaden utwór literacki nie jest pamiętnikiem ani świadectwem, ani wyznaniem wiary autora. Kobiety inteligentne istnieją - na szczęście. Zwracano już uwagę na to, że bohaterka tej sztuki jest kobietą ciekawą, nieprzeciętną. Dlatego też ta postać budzi sympatię zarówno widzów, jak i aktorek, które były zawsze zainteresowane graniem tej roli.

Nasuwa się spostrzeżenie; otóż jeden z bohaterów Pańskiej sztuki przypomina bohatera *Fausta* Goethego - odnoszącego sukces, lecz nieodczuwającego życiowej satysfakcji. Czy jest to zbieżność przypadkowa?

Ja nie zajmowałem się określaniem bohatera, jego charakterem, życiorysem. Budowałem sytuację dramatyczną na scenie, czyli taką, w której coś się dzieje i z której coś wynika. Dlatego potrzebne były mi dwie kontrastowe postacie. Jest to może bardzo schematyczne, ale skuteczne, bo pozwoliło mi napisać sztukę, która funkcjonuje dobrze na scenie. Nie jest to duża sztuka, ale dobre i to.

Czy angielska wersja teatralna *Letniego dnia* sprawiła Panu satysfakcję i zadowolenie?

Każde przedstawienie mojej sztuki sprawia, że czuję się dobrze... Nie dlatego, że jestem autorem, tylko dlatego, że po prostu lubię teatr. Jeżeli zdarza się, że jestem autorem danej sztuki, tym lepiej.

Czy wczorajszy spektakl miał jakieś szczególne cechy, a może jakieś braki?

Trudno powiedzieć. Jeżeli teatr jest poniżej pewnego poziomu technicznego, zawodowego, to zapewne tak jest. Ale nie w tym przypadku. Każde przedstawienie jest inne. W danym kraju, mieście, ta sama sztuka może mieć różne interpretacje. Nawet grana w tym samym teatrze - każdego wieczoru jest inna. Dlatego teatr jest żywy, przedstawienie jest faktem teatralnym, dlatego trudno jest rozmawiać o jego niedostatkach.

Pańska sztuka jest bliska mentalności brytyjskiej, dużo w niej logicznej gry słów z wieloma podtekstami; uderza mówienie o smutnych rzeczach z humorem.

To nie musi być tylko brytyjskie, to może też być czeskie. To swego rodzaju

skłonność do niedopowiedzenia - *understatement*, które jest rzeczywiście również cechą brytyjską.

Jaki powinien być teatr - smutny czy wesoły?

Teatr powinien być taki, aby publiczność nie wyszła z sali po pierwszych pięciu minutach. Jak się to uda, to już jest dobrze. Dlatego uważam, że teatr powinien bawić publiczność.

W latach sześćdziesiątych Pańskie sztuki budziły zaniepokojenie wśród publiczności polskiej. Jednak wówczas nie zawsze były rozumiane, sprawiały wrażenie dziwnych.

Na pewno te same sztuki nie budzą już dzisiaj zdziwienia, ponieważ pojawiły się nowe sposoby przedstawiania dramatu, które są jeszcze bardziej dziwne. Nie sądzę, by na przykład *Szczęśliwe wydarzenie* prowokowało dzisiaj podobną reakcję, jak trzydzieści lat temu. Z drugiej strony, nie wiem, jak było wówczas, gdyż nie byłem obecny w kraju przez ponad trzydzieści lat. Dlatego też trudno mi powiedzieć.

Kontynuując wątek. Pańskie dramaty są bardzo przewrotne. To swoista zabawa słowem...

Dlaczego przewrotne?

Dlatego, że z jednej strony dialog opiera się na humorze, z drugiej jednak istnieje warstwa dramatyczna, zawierająca wiele prawd metafizycznych, bardzo smutnych.

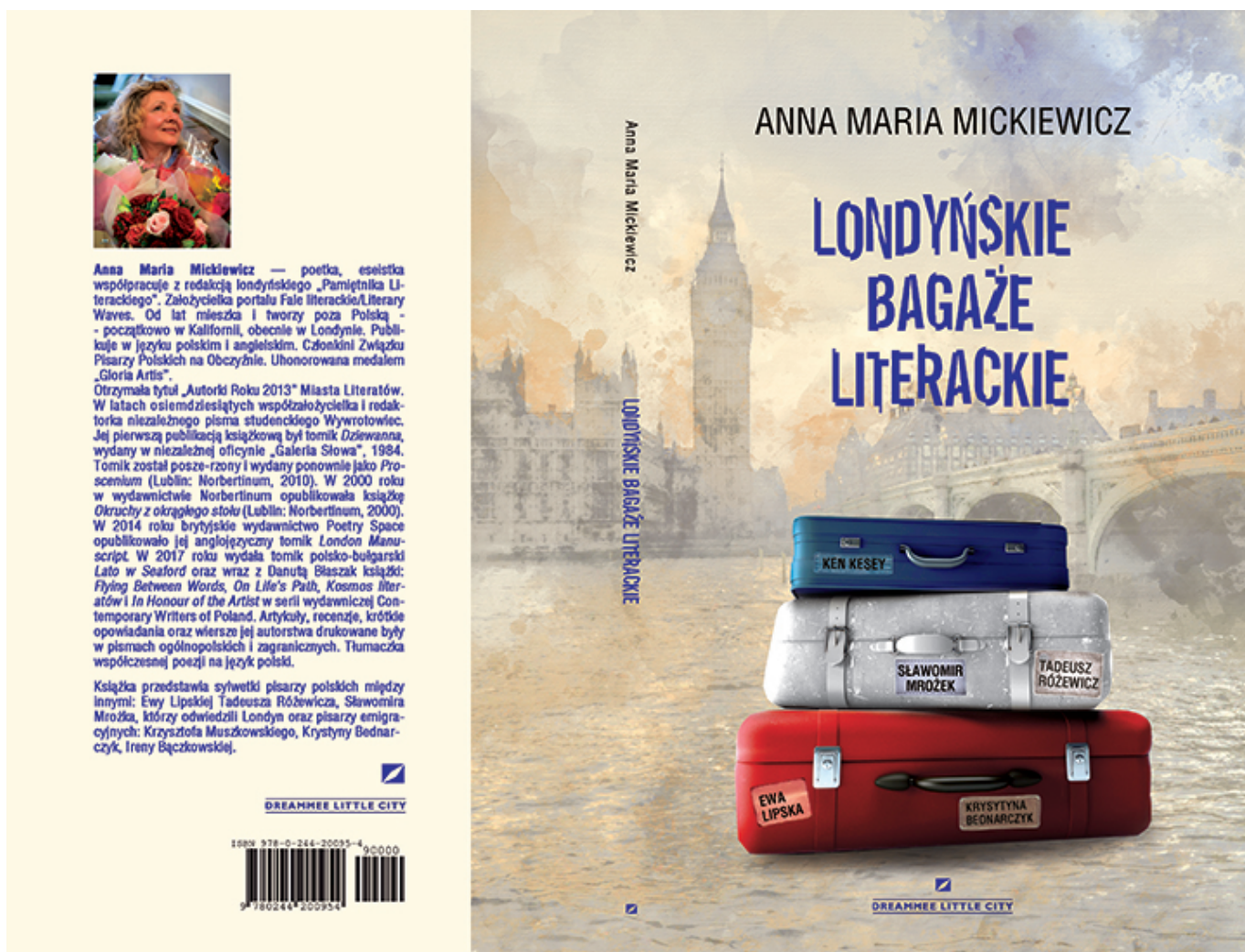
Tego nie nazwałbym przewrotnością, tylko umiejętnością przyciągania i zatrzymywania widza. Jeżeli widz czuje się zaniepokojony, to nie wyjdzie z teatru, zanim sztuka się nie skończy, po drodze można mu powiedzieć jeszcze coś poważniejszego. Sposobem na widza jest zabawa.

Bardzo często życie przedstawia Pan jako formę więzienia...

To nie jest tylko w mojej twórczości. Na tym polega życie, że są ograniczenia. Gdyby ich nie było, to by nie było życia i nas też. Jednocześnie na to narzekamy, bo

chcielibyśmy być absolutnie wolni. Natomiast absolutna wolność oznacza śmierć... Przystajemy podlegać prawu ciężenia, natychmiast się ulatwiamy w kosmos i nas nie ma. Zarówno mnie nie ma, i pani nie ma. Wszystko się odrywa od ziemi i znika. Dlatego nie należy narzekać na jakiegokolwiek ograniczenia.

Londyn, marzec 2000 r.



Wywiad ze Sławomirem Mrożkiem to fragment książki, Anny Marii Mickiewicz „Londyńskie bagaże literackie”, która właśnie się ukazała. Materiały poświęcone są przede wszystkim pisarzom polskim, którzy zaistnieli w polskiej i międzynarodowej przestrzeni kulturalnej, których autorka miała okazję spotkać poza granicami kraju. Oprócz Sławomira Mrożka należą do tego grona Ewa Lipska, Tadeusz Różewicz, Krzysztof Muszkowski, Krystyna Bednarczyk. To swoisty pamiętnik.

Książkę można kupić:

<http://www.lulu.com/shop/anna-maria-mickiewicz/londy%C5%84skie-baga%C5%BCe-literackie/paperback/product-24179769.html>

http://www.norbertinum.pl/ksiazka/717/Londy%C5%84skie-baga%C5%BCe-literackie?fbclid=IwAR2J-0grjcLD6LpS_6E5xz8RRBEouKQ06_sGLJjboOt4DigmGgAJmn7atvM



Anna Maria Mickiewicz z książką

Dla Powstańców Warszawy



„W hołdzie Powstańcom Warszawy”, arch. PUNKT.CA, fot. Yarek Dąbrowski.
Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*)

O spektaklu „W hołdzie Powstańcom Warszawy”, którego premiera miała miejsce 15.10.2004 roku w Toronto. Fragment książki „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny”, wyd. Novae Res 2016 r.

Warszawa 1944 r. Mieszkający na Saskiej Kępie siedemnastoletni Jurek Pilitowski, zostaje zmobilizowany. Udaje się na punkt zborny, gdzie dostaje przydział do zgrupowania Golski, III Baon Pancerny, Pluton 155. Od tej chwili jest żołnierzem. Godzina „W” zastaje go na rogu ulicy Wilczej i Emilii Plater. Walczy w rejonie Politechniki. Broni każdego domu, każdego podwórka. Przetrwał Powstanie, dzięki fachowej kadrze oficerskiej swojego zgrupowania i braku nieprzemyślanych akcji. Tak twierdzi.

Jerzy Pilitowski niechętnie mówił o Powstaniu, trudno było z niego wyciągnąć obszerną relację. Na każde pytanie odpowiadał krótko i lakonicznie. Uważał się za jednego z wielu. - To nie jest żadne bohaterstwo, tylko normalna sprawa. - mówił. - Nikomu do głowy nie przyszło, żeby w takiej chwili nie chwycić za broń i nie iść walczyć za Ojczyznę.

Takie było wychowanie tego pokolenia. W jego domu panowała atmosfera konspiracji, rodzice działali m.in. w organizacji „Żegota”, która pomagała Żydom, a on sam, jako młody chłopiec, nie raz służył za gońca, czy brał udział w innych akcjach. Nic więc dziwnego, że bez pytania rodziców, jako 15-to latek wstąpił do Szarych Szeregów. Uważał, że tak trzeba zrobić.

Właśnie tym wszystkim „jednym z wielu” młodym i starszym bohaterom, tym którzy przetrwali i tym którzy nie przeżyli, dedykowany był spektakl.

W CNN znów idzie film o Powstaniu. - odnotował Jerzy Pilitowski w swoim „Dzienniku”. - Nareszcie trochę Amerykanów czegoś się dowie. I może trochę Kanadyjczyków przy okazji. A w Kanadzie nadal nie uznaje się powstańców za kombatantów (choć i Hitler w końcu respektował naszą przynależność do alianckiej koalicji).

(13 czerwca 2004)

Przeżywał, jeśli ktokolwiek nie uznał Powstańców za regularne wojsko. To dodatkowy aspekt kanadyjskiej premiery przedstawienia „W hołdzie Powstańcom Warszawy”[1].



„W hołdzie Powstańcom Warszawy”, z lewej Bernardetta Wróbel.

Przez pożary i dymy,

Od Woli aż po Mokotów,

Brzmi nasze hasło: „Walczemy!”

I dumny nasz odzew: „Gotów!”

Bo serca nasze odważne,

Nie można ich uciemieżyć.

Śmierć? Nieważne!

Życie? Nieważne!

*Ważne - zwyciężyć!**[2]***

Ten wiersz stał się mottem i myślą przewodnią pierwszej części spektaklu. Chłopcy i dziewczęta idą do powstania z nadzieją na zwycięstwo. My nie potrzebujemy lamentu, mówią młodzi powstańcy, my potrzebujemy, broni, amunicji, my tu

walczymy, a nie umieramy. Na plan pierwszy wysuwają się aktorzy – Mirosław Połatyński, Andrzej Słabiak, Rafał Sokołowski. Różnią się strojem i rolą. Jest dowódca, w czarnej skórzanej kurtce, starszy wiekiem, pewny i niezłomny, jest oficer w mundurze, jest powstaniec w kurtce moro. Oni pełnią rolę wiodącą. Mówią o ważności zadania, o tym, że należy walczyć i się nie poddać. Emanuje z nich siła, zarażają nią młodych. Młodzież jest ufna, poddaje się bez żadnego *ale...* „życie – nieważne, śmierć – nieważne, ważne – zwyciężyć”. W scenicznym obozie jest radośnie. Cudowne są dzieci powstańcze. Mateusz Bobel w hełmie spadającym mu na czoło, z pełną finezją, gracją i z aktorskim wyczuciem śpiewa piosenkę M. Jezierskiego o sanitariuszce Małgorzatce. Znane melodie wzruszają, publiczność co chwilę bije brawo. My zwyciężymy, Warszawa walczy.

Druga część to klęska powstania. Dziecko zapowiada swoją śmierć, matka rozpacza. Chłopiec – sierota wzruszająco mówi wiersz o tym, że z głodu wypalił peta. Mama by go skrzyczała, ale on nie ma mamy, sam jest na świecie. Niezłomny wcześniej dowódca, twardy i hardy – jednak załamuje się. Ginie łączniczka Zosieńka. Nic o niej nie wiadomo, skąd przyszła i gdzie zginęła. Śpiewała wszystkim wesołe piosenki, niosła radość i wiarę, ale już nie śpiewa. Nie ma Zosieńki. Jak tysiące innych dziewcząt i chłopców, harcerek, sanitariuszek. Nie ma ich. Z tych zgliszcz, bólu i rozpacz, wyłania się jednak nadzieja. Małgorzata Maye śpiewa piosenkę z repertuaru Mieczysława Foga „Piosenka o mojej Warszawie”. Jaka będzie ta Warszawa, jaka będzie Polska. Kobieta przygarnia bezdomne dziecko, powstańcy odszukują się w zgliszczach, zbierają moce do odbudowania Warszawy. Z ludzi, którzy ocaleli, powstaje pomnik Warszawy niczym warszawska Nike. Pieśń „Jeno zdejmij mi z tych oczu, szkło bolesne....” do słów K.K. Baczyńskiego, otacza ich ramionami (Małgorzata Maye). Dźwięczy w uszach i kończy spektakl.....nadzieją.

Maria Nowotarska:

Bardzo mi zależało, aby w naszym spektaklu była nadzieja. Dlatego oprócz poezji, która w powstaniu stała się zapisem chwili, mocną, prawdziwą relacją z tamtych dni, niesłychanie poruszających wierszy poetów-uczestników powstania – Baczyńskiego, Makuszyńskiego. Wierzyńskiego, dołożyłam, co jest zabiegiem dość szczególnym –

poezję Wyspiańskiego. Dlaczego? Ze względu na bliską mu tradycję powstania listopadowego, tak znakomicie udokumentowaną przez niego, szczególnie w „Nocy listopadowej” i „Wyzwoleniu”. Te utwory i jego poezja to przecież wyraz czystego pragnienia wolności. A nasze pokolenie wychowane jest na tej materii i w tym duchu – w marzeniu o Polsce odrodzonej. Jak mówi Kora w „Nocy listopadowej”, posiane raz ziarno – krew, da w końcu z siebie nowe życie, które z niego wyrośnie[3].



„W hołdzie Powstańcom Warszawy”, z lewej Andrzej Słabiak, z rękami podniesionymi w górę Margaret Maye.

Po klęsce Powstania i zburzeniu Warszawy, ze zgliszcz rodzi się nadzieja. Rafał Sokołowski – jako młody żołnierz mówi słowami modlitwy Konrada z „Wyzwolenia” Wyspiańskiego.

*Chcę, żeby w letni dzień,
w upalny letni dzień*

*przede mną zżęto żytni łan,
dzwoniących sierpów słyszeć szmer
i świerszczów szept, i szum,
i żeby w oczach mych
koszono kąkol w snopie zbóż.*



Projekt plakatu Joanna Dąbrowska.

Nadzieję widać też w plakacie projektu Joanny Dąbrowskiej, którego głównym elementem jest biało-czerwona powstańcza opaska. Wyrasta z niej zielona gałązka.

Maria Nowotarska:

Jest to opaska mojego męża Jerzego Pilitowskiego. Ocalił ją i zachował przez wiele trudnych chwil - miał ją ze sobą w niewoli, potem kiedy walczył w armii Andersa, a później przemycił ją w bucie do Polski. Teraz jest z nami w Kanadzie.

W inscenizacji niezwykłą rolę odegrała malarskość przekazu. Wiele scen przypominało obrazy. Postacie zatrzymywały się w bezruchu, na kształt posągu, pomnika. Np. grupa dziewcząt zastyga nieruchomo z lewej strony sceny, niczym starożytne rzeźby, a z prawej strony, w białej sukni Kinga Mitrowska elektryzuje swoim niebywałym głosem.

Symboliczna, wymowna i oszczędna scenografia grała swoją rolę. W tle polska flaga. Czerwona jej połowa spoczywała na ziemi, jako symbol przelanej krwi, a biała część, jako nadzieja wznosiła się w niebo. Przeważała wojskowa kolorystyka khaki, w kształcie prosta i symboliczna. Drzewo i krzyż, kawałki dachówki, domu, muru, rzucone bezładnie na scenę, mogły odgrywać różne role - barykady w pierwszej części, schronu, czy piwnicy w drugiej części. Dramatyzmu dodawały przenikające scenę fragmenty dokumentalnych kronik powstańczych.

To przedstawienie wzbudziło bardzo wiele emocji. Na widowni siedzieli zarówno dawni uczestnicy Powstania, jak i młodzież z pokolenia ich wnuków. I jedni, i drudzy po spektaklu mieli w oczach łzy wzruszenia. Na korytarzu słyszało się wspomnienia sprzed lat, autentyczne historie opowiadane przez ludzi stamtąd - z Warszawy czasów wojny.

Gdy ze sceny padły słowa, że przedstawienie dedykowane jest nie tylko poległym, ale i tym żywym, którzy są wśród nas, na widowni zapanowała cisza, a potem lawiną posypały się brawa. Ile strun zostało poruszonych, gdy dawni młodzi bohaterowie usłyszeli te same piosenki śpiewane przez młodzież w harcerskich mundurach, gdy poczuli, że o nich się nadal pamięta, gdy zobaczyli, że na scenie z gruzów rodzi się nadzieja, a po umarłych pozostał duch.

A młodzi? Podziwiali dziadków i babcie, a może im trochę i zazdrościli. W każdym razie była to dla nich lekcja patriotyzmu i historii. Spektakl ten połączył pokolenia.



Projekt scenografii Joanna Dąbrowska, arch. PUNKT.CA, fot. Yarek Dąbrowski.

[1] *W hołdzie Powstańcom Warszawy. Scenariusz i reżyseria: Maria Nowotarska. Występują: Małgorzata Maye, Kinga Mitrowska, Maria Nowotarska, Agata Pilitowska, Bernardetta Wróbel, Mirosław Połatyński, Andrzej Słabiak, Rafał Sokołowski oraz grupy Studia Aktorskiego Salonu „SAS” i „SAS” - junior. Scenografia: Joanna Dąbrowska. Organizacja: Jerzy Pilitowski. Prapremiera: 15 października 2004, Burnhamthorpe Library Theatre, Mississauga.*

[2] *Wiersz drukowany w piśmie „Barykada Powiśla”, nr 24 z 30 sierpnia 1944 r., gdzie był oznaczony inicjałami „J.B.” (Jan Brzechwa)*

[3] *Na podst.: Małgorzata Bonikowska, Powstańczy fresk - dokument chwili, „Gazeta” Toronto, 190, 1-3 października 2004 r.*



Inne fragmenty książki:

<https://www.cultureave.com/tamara-l-sztuka-kazimierza-brauna/>

<https://www.cultureave.com/opowiesci-poli-negri/>

<http://www.cultureave.com/teatr-spełnionych-nadziei-opowiesc-o-polskim-teatrze-w-toronto/>

<http://www.cultureave.com/klan-pilitowskich/>

<http://www.cultureave.com/dobry-wieczor-monsieur-chopin/>

<http://www.cultureave.com/basniowy-galczynski/>

Podróże i spotkania z czytelnikami:

<http://www.cultureave.com/teatr-spełnionych-nadziei-podroze-i-spotkania-z-czytelnikami/>

Wywiad Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm z Joanną Sokołowską-Gwizdka:

<http://www.cultureave.com/joanna-sokolowska-gwizdka-laureatka-zlotej-sowy-polonii/>

Książka jest dostępna w księgarniach stacjonarnych i internetowych w Polsce, a także na Amazon:

https://www.amazon.com/gp/offer-listing/8380832779/ref=tmm_hrd_new_olp_sr?ie=UTF8&condition=new&qid=1512162735&sr=1-1